FRANCZESKA Z RIMINI

dbl 288984
jcz

GABRIELE d'ANNUNZIO

FRANCZESKA Z RIMINI

TRAGEDYA W 5 AKTACH

Z WŁOSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

JAN KASPROWICZ

LWÓW
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA — MCMVI

81344

66.064

Bibl. Jagiell.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Bibl. Jagiell.
1973 D 4

Boskiej Eleonorze Duse

DRAMATIS PERSONAE.

OSTASIO, BANNINO, FRANCZESKA, SAMARYTANA — dzieci Gwidona Minore z Polenty.

BIANKOFIORE, ALDA, GARSENDA, ALTICHIARA, ADONELLA, NIEWOLNICA — Frauncymer Franczeski.

SER TOLDO BERARDENGO, ASPINELLO ARSENDI, VIVIANO DE VIVII, BERTRANDO LURO, ŁUCZNIK — Stronnicy Gwidona.

GIOVANNI LO SCIANCATO (Jan Kulawiec) zwany GIANCIOTTO, PAOLO PIĘKNY, MALATESTINO DALL' OCCHIO (Jednooki) — Synowie Malatesty z Verucchio.

ODDO DALLE CAMINATE, FOSCOLO d'OLNANO, STRAŻNIK, ŁUCZNICY i STRZELCY — Stronnicy Malatesty.

KUPIEC.
SŁUŻĄCY.
LEKARZ.
ASTROLOG.
GRAJEK.
MUZYKANCI.
LUDZIE Z POCHODNIAMI.

Rzecz dzieje się w Rawennie, w domu Polentanów, i w Rimini, w domu Malatestów.

AKT PIERWSZY

AKT PIERWSZY.

Dziedziniec w pałacu Polentanów, przytykający do ogrodu, który prześwieca przez mur, wykuty w marmurze, opatrzony w otwory, podobne do sztachet. U góry loggia, po prawej stronie łącząca się z komnatami białogłowskiemi, z przodu na wielkich oparta kolumnach, dająca widok obustronny. Od loggii, po lewej, prowadzą lekkie schody popod próg zamkniętego ogrodu. W głębi wielka brama i niskie, zakratowane okno, przez które widać rząd arkad, otaczających drugi, większy dziedziniec. Obok schodów kamienny sarkofag bizantyński, bez nakrycia, niby wazon napełniony ziemią, a w niej rozkwitły krzak szkarłatnej róży.

SCENA PIERWSZA.

Widać damy, wychylające się z loggii lub schodzące po schodach; zaciekawione, dają znaki grajkowi, który zjawia się z skrzypkami pod pachą i starą kapotą w ręku.

ALDA. Ohej! jest grajek! grajek!

GARSENDA. Adonella! Adonella! Mamy grajka
w dziedzińcu! Biankofiore!
Zjawił się grajek! grajek!...

ADONELLA. Czy bramy są otwarte?

BIANKOFIORE. Niechże nam co zaśpiewa!

ALDA. Hej! Czyś ty może Gianni?

GRAJEK. Słodkie moje panie!

ALDA. Możeś ty Gianni, co miał przybyć do nas
z Bolonii? Gianni Figo?

GARSENDA. Możeś Gordello, co miał przyjść z Ferrary?

GRAJEK. O moje panie drogie!

ADONELLA. Czego tu chcesz w dziedzińcu?

GRAJEK. Przyszedłem za zapachem!

BIANKOFIORE. My wyrabiamy pachnący olejek —
olejek lawendowy.

GRAJEK. Ja bo tam nie jestem
handlarzem pachnideł.

ALTICHIARA. Damy-ć flakonik, jeśli nam, słowiku,
raczysz zaśpiewać...

GARSENDA. Patrzcie go, jak mlaska!

GRAJEK. Więc panie macie... proszę?!

BIANKOFIORE. Mamy go pełne kosze.

ADONELLA. Mamy go pełne wory —
o, pełne skrzynie!... Madonna Franczeska
kąpać w tym soku będzie swe powaby,
w olejku lawendowym.

GRAJEK. A ja myślałem, że w Gwida pałacu
zapach krwi znajdę!

ALDA. Krwi Trawersarów. Na placu, na placu
krew oną znajdziesz!

WSZYSTKIE. Polenta! A bijże!
bij Trawersarów!

GRAJEK. Ehej! Cirp! cirp! cirp! Ratuj się kto może!
Wróble się naraz zmieniły w krogulców!

(Śmiech spływa po schodach dzwoniący, tu i owdzie śród dwurożnych pobłyskując koafiur.)

WSZYSTKIE. Rozszarpać gibelina!

GRAJEK. Cicho-że bądźcie, bo łucznik usłyszy
i zbyt skwapliwie wymierzy swą strzałę
prosto — w mój żywot... Na śmierć czas mi jeszcze.

ALDA. Przysięgnij, żeś jest gwelfem!

GRAJEK. Tak! na świętego Merkuryala z Forli,
(który bodajby zwalił swą dzwonnicę
na łeb Feltrana) jam gwelf tak prawdziwy,
jak Malatesta di Verucchio — wiecie?

GARSENDA. A zatem jesteś ocalon... Chodź bliżej,
możesz powąchać, bracie!

GRAJEK. Wąchać?... A mięsa mi dacie?
Jeśli ja mam być psem,
wówczas tu muszą być także i suki.
Zobaczym ~ ~ ~

(Rzuca się na czworaki, jak pies, i zaczyna dobierać się do sukien panienek.)

GARSENDA. Psie przeklęty!

ALDA. Ty psie parszywy!

ALTICHIARA. Grzeszny psie! no, bierz-że!

GRAJEK. Ojej! ojej! jej! strzaskacie mi skrzypce!
Złamiecie smyczek!

ADONELLA. No, bierz to!

GARSENDA. I to!

BIANKOFIORE. I to! bierz! no łapaj!

GRAJEK. O, wszystkie zakochane!
Gdybym ja wiedział, która najgorętsza!

WSZYSTKIE (śmiejąc się, uderzają go po grzbiecie, a gdy Grajek dobiera się do ich spódnic i węszy jak pies, przestają go bić i otrząsnąwszy wonne sukienki, zaczynają tańczyć okrągłego.)

BIANKOFIORE. Zatańczmy „okrągłego".

ADONELLA. Co? Czujesz zapach?
Zapach lawendy?

ALTICHIARA. Kwiat lawendowy,
świeży i zdrowy?

BIANKOFIORE. W płótnach kwiat ten dziki, w ukryciu głębokiem,
do tego ogródka wejdź-że choćby okiem.

ALTICHIARA. Kwiat lawendy pachnie, nie widać ogroda.

ADONELLA. Skądże to zawiewa ta wonna osłoda?

WSZYSTKIE. A wąchaj-że! wąchaj!

GARSENDA. W koszulce, w koszulce dziki kwiat się chowa,
chodź-że mój kochanku, pora to majowa.

WSZYSTKIE. A wąchaj-że, wąchaj!

ADONELLA. O niechże się do mnie kochanek przytuli,
chcę go mieć przy sobie bliżej od koszuli.
Miłość się odzywa,
miłość mnie porywa!

WSZYSTKIE. A wąchaj-że! wąchaj! wąchaj!

GRAJEK wstaje i stara się je łapać. A! koty za płoty!
Dorwać się choć do jednej!

ALDA z pogardliwym ruchem. Nie łapać ci zwierzyny!

GARSENDA. Ty wolisz kęs słoniny!
Przyznaj się, grajku biedny:
większy cię głód pogania,
niż chęć dowcipkowania.

GRAJEK drapiąc się w kark. Być może; dawnom nie nasycił głodu,
a zapach człeka nie tuczy!

GARSENDA. A widzisz, widzisz! idź więc do biskupa
Bonifacego z Genui, to największy
smakosz na świecie! Tutaj dom Polenty.

GRAJEK. Największe smaki są tu między wami —
imbier, jakiego nie znajdziesz gdzieindziej —
wątróbka w czarnym chrzanie,
to, zacne raweńskie panie,
przysmaczek mój, o mój!

GARSENDA. Nie ma tu żadnej takiej,
coby dla durnia chowała przysmaki.

BIANKOFIORE. Zaśpiewaj nam, grajku!

ALDA. Zatańcz-że nam, grajku!

GRAJEK. poprawiając strzępy na sobie. Docnaście mnie podarły.
O ty nieszczęście mego życia! Macie
może cokolwiek...?

GARSENDA. Słoniny?

GRAJEK. Nie! macie może kawałek szkarłatu?

ADONELLA. Chce ci się jeszcze krotochwilić?... Owszem.

BIANKOFIORE. Lecz wprzódy, kto jesteś? Gianni...

ALTICHIARA. Biankofiore, patrz! w jakich on sukniach!
Kubrak się kłóci z trzewikiem.

GARSENDA. To Gian
Figo i przybył z Bolonii.

BIANKOFIORE. A tylko
bez bolońskiego złota!

ALDA. Pewnie jest służką Lambertazzów.

GARSENDA. Hołota! hołota!

ALDA. Doznał despektu
od Geremeiów.

ALTICHIARA. Czyś może stracił jakie wielkie księstwo?

GARSENDA. Popatrz na niego, Adonella! został
zaledwie w spodniach.

GRAJEK. I tebyście jeszcze
chciały mi ściągnąć!...

ADONELLA. Popatrz się, łotrze, w lustro! Krzywy jesteś
jak kabłąk łuku!

BIANKOFIORE. Zaśpiewasz nam może
coś o zburzeniu Bolonii i o tem,
jako pojmano przedtem króla Enzia?

GARSENDA. A ja wam mówię, że przybył z Ferrary.

GRAJEK *zniecierpliwiony*. Przybywam z Ferrary,
przybywam z Bolonii.

GARSENDA. A możeś ty właśnie
przywiódł z Bolonii do Ferrary
Ghisolabellę de Caccianimici
panu Opizzo — margrabiemu?

GRAJEK. Tak, nie inaczej, prawdę mówisz, prawdę.

GARSENDA. I ty zapewne sprawiłeś wesele
siostrze Opizza z pewnym bardzo miennym
sędzią z Gallury, z owym połamańcem,
co brał na pomoc tęgiego parobka?

GRAJEK. Tak, nie inaczej! prawda! w podarunku
dostałem za to — —

ALDA. Kość?

ADONELLA. I dwa kasztany?

BIANKOFIORE. I trzy orzechy włoskie i laskowy
jeden?...

ALTICHIARA. I gałąź biedrzeńca...

GARSENDA. I parę ślimaków i żołądź! —

GRAJEK. I tę z sieraku angielskiego kurtę —
nie, tę czerwoną aksamitną z Tirii. —
Nie, ten karmazyn welwetowy, cały
gronostajami podbity...

GARSENDA. O, patrzaj!
Altichiaro, patrzaj, co ma w ręku.

ALTICHIARA. Stary kubraczek...

GARSENDA. Nie! to romaniola.

ALDA. A więc Gordello jesteś, nie Gian Figo.

ADONELLA. Gdzież tam! to żydek!

BIANKOFIORE. To handlarz starzyzny,
Lotto z pod bramy Sisi.

ALTICHIARA. Sprzedajesz pieśni czy szmaty?

ADONELLA. Powiedz, łachmany-ś przyniósł czy piosenki?

GRAJEK. A niech mnie dyabli! myślałem, że jestem
w pałacu pana Polenty, a widzę,
żem się przypadkiem dostał w klatkę wróbli.

GARSENDA. Skrzep się na duchu, ja zadowolona,
boć pokazałam, wielki kalfaktorze,

że pań raweńskich nie łatwo jest chwytać
na lep żarcików.

GRAJEK. — — i macków...

ALDA. Zaczynasz?

ADONELLA. Zamyślasz wznowić kłótnię?

BIANKOFIORE. Daj-że mu spokój, Alda! niech zaśpiewa!

GARSENDA. Lecz ja nie widzę, jakie on ma skrzypce?
Patrz, Adonello!
Raczej podobne do dyni z tym brzuchem
i z taką szyjką —
nie mają kluczyków,
struny basowej brak i tercy.
Jeśli on szczeka, to niech sobie warczą
jego skrzypeczki! Zabrzdąkaj-że, proszę,
na ribekinie, daj spokój smyczkowi.

BIANKOFIORE. Przestań się z nim już kłócić, mono Berto!
Wnet zobaczymy, czy też umie śpiewać:
Dalej-że, grajku!
Zanuć nam wreszcie jaką piękną piosnkę.
Nie znasz śpiewaka,
który się zowie Pisarzem z Lentino?
Nasza madonna Franczeska zna jego
piękną piosneczkę, która się zaczyna:
„O jak mną dziwnie wstrząsa miłość!...“ Znasz to?

GRAJEK. Owszem. Zaśpiewam,
gdy dacie mi sztuczkę szkarłatu.

ALTICHIARA. Powiedz-no, bratku, co ty chcesz z nim robić?

ADONELLA. Baczność! zważajmy!

GRAJEK. Będzie mi bardzo miło,
jeśli mi załatacie
ten mój kubraczek.

ALTICHIARA. Daj ci Boże szczęście!
Romaniolę chcesz łatać szkarłatem?

GRAJEK. Jeżeli macie, zróbcie mi tę łaskę —
mam jedną dziurę na piersiach, a drugą
oto na łokciu! posiadacie może
ze dwa kawałki?

ALTICHIARA. Owszem, mamy! mamy!
Załatasz sobie, jeśli nam zaśpiewasz.
Ale to będzie całkiem coś nowego:
romaniola i szkarłat!

GRAJEK. Ja zawsze szukam nowości; raz przecie
jestem czemś nowem,
dlatego tak czynię...
Ale niedawno, udając się do was,
widziałem rzeczy stokroć nowsze; wiecie —
jakie dwie mile stąd spostrzegłem kogoś,

który miał głowę z żelaza,
nogi drewniane, a zasię
przemawiał, wiecie, ramionami.

BIANKOFIORE. Oto, coś bardzo nowego!
Jak to być może? mów, jak to być może?

ADONELLA. Baczność! Zważajmy! Zważajmy!

GRAJEK. Zaraz wam powiem: spotkałem się w drodze
z kimś, co na głowie wielkie miał hełmisko,
a iże szyszki szedł zrywać z raweńskich
jedli, tak, wiecie, wędrował na krokwiach;
a zapytany, czy czasem nie widział
jednego z ludzi, który przed nim jechał,
tak wzruszył ramionami,
odpowiadając w ten sposób,
że go nie widział.

BIANKOFIORE. To prawda!

GRAJEK. Jestem czemś nowem, bo rzeczy prawdziwe
mówię wam żartem — ot, bajki, mospanie!
Przeto mi zróbcie to, o co was proszę,
a gdy już będzie zrobione,
wówczas zbyt długo czekać nie będziecie,
ale poznawszy przyczynę, powiecie,
że Gian Figo...

GARSENDA. Zdradziłeś się, bratku...

WSZYSTKIE. Więc jest Gian Figo...

GRAJEK. Powiecie: Gian Figo
taki jest mądry, prawda, jak Dinadam,
oberlandzkiego króla syn, co właśnie
przez to był mądry, że nie znał miłości.

ALTICHIARA. Dalej! zaczynaj! Pora już zaśpiewać!

BIANKOFIORE. „Nadeszła pora wzlotu..."
Znasz-li te piękne wiersze króla Enzia,
owego króla, który zginął w bitwie
z bolończykami i został zamknięty
w klatce żelaznej,
gdzie życie zakończył,
śpiewając o swoim bolu?
Sześć lat upłynie już w marcu; pamiętam:
„Nadeszła pora wzlotu i upadku,
nadeszła pora słowa i milczenia..."

ADONELLA. Nie! nie! Gian Figo,
zaśpiewaj nam, piosenkę
króla Jana z Jeruzalem
„Dla kwiatu wszystkie ziemie..."

GARSENDA. Nie! nie! zaśpiewaj króla Fryderyka
oną-ć „piosenkę wesołą"
(zna-ci ją dobrze madonna Franczeska,
ten kwiat Rawenny) — piosnkę, ułożoną

dla róży z Soryi, kiedy władzca Szwabii
kochał się w dzielnej panience,
z domu Brienny,
którą z za morza przywiozła ze sobą
jego małżonka, a ona-ć małżonka
pana szwabskiego była właśnie córką
owego Jana, króla Jeruzalem — —:
zwała się Izabella,
potem umarła i wówczas Fryderyk
pojął za żonę siostrę angielskiego
króla Henryka Prostaka.
Wżdyć umiłował ją przez to, że biegła
była w muzyce, tak samo, jak nasza
pani Franczeska, i że miała zręczność
w słodkiej i dwornej mowie; i to było
trzecie wesele; i ona śpiewała
we dnie i noce, i grała, i potem — — —

BIANKOFIORE (zamyka jej usta ręką.)

GRAJEK. A to pleciuga! Biedny królu Enzio,
snadź nie nadejdzie tu pora milczenia!
Takiż to skutek twojej krotochwili,
Gian Figo? Słowa, słówka i słóweczka —
za cztery słowa masz ich zaraz tysiąc!

ALTICHIARA. Posłuchaj, grajku! Zostaw króla w grobie!
Zaśpiewaj raczej: „Matko, daj mi męża!

— Poco ci męża, ma córko?
— Bym miała słodycz z niego...“

ALDA. Ależ to stara! Posłuchaj mnie, grajku!

ALTICHIARA. A może: „Monna Lapa
przędzie i przędzie...“

ALDA. Nie, nie! inna!

ALTICHIARA. Może:
„Ślimaku, zejdź z drogi,
boć wyskubię rogi!“

ALDA. Cicho!

ALTICHIARA. A może: „Każda panieneczka
ma kochanków siedmiu —
po jednym na dzień w tygodniu...“

ALDA. Cicho!

ALTICHIARA. Lub: „Monno Aldrudo,
pociesz się, dobre są wieści...“

ALDA. A cicho!
Biankofiore, zamknij-że raz gębę!
Słuchaj śpiewaku, to stare piosneczki. —

ADONELLA. Ponoć w Bolonii nowy jest trubadur —
pewnieś go słyszał — śpiewa w nowym stylu —

zowie się messer Gwido — — messer Gwido
z rodu — — — no, jakże?...

GRAJEK. Z rodu Gwinizellów.
Precz wywędrował, z partyą Lambertuzzów
zbiegł do Werony i umarł...

ALDA. Niech zczeźnie!
Stronnik cesarski! Niech się w piekle uczy
układać rymy! Słuchaj, może umiesz
coś rycerskiego?

BIANKOFIORE. Tak! może umiesz o „okrągłym stole?“
Znasz-li te wszystkie rycerskie przygody?
Może nam powiesz o wielkiej miłości
złocistowłosej Izoldy?

GRAJEK. Znam sprawy wszystkich rycerzy i wszystkie
sprawy wielkiego rycerstwa,
które zdarzyły się w czasach
króla Artura, szczególnie wiadomą
jest mi opowieść o panu Tristanie
i Lancelocie z Jeziora; znam także
o Parsifalu z Galles, co kosztował
krwie Zbawiciela naszego, Jezusa,
o Galeassie wiem i o Galwanie,
a i o innych: znam wszystkie powieści...

ALDA. A o G[illegible]ewrze?

ADONELLA. Co za myśl szczęśliwa!
Trzeba to, Aldo, powiedzieć madonnie
Franczesce, prawda? Wielce się ucieszy
i obdaruje cię hojnie
za tę opowieść, grajku.

GRAJEK. A da mi naprzód?

ADONELLA. Co da ci naprzód?

GRAJEK. Anoć da mi naprzód
one-ć dwie sztuki szkarłatu.

ADONELLA. Da więcej,
więcej! Obdarzy cię przehojnie! Wszakże
niebawem będzie jej ślub! Messer Gwido
oddaje córkę swoją Malateście.
Przygotowują wesele.

BIANKOFIORE. Tymczasem
słuchamy ciebie: opowiedz cośkolwiek —
„nadeszła pora słuchania", jak mówi
królewski więzień z przeprawy bolońskiej.

(Damy gromadzą się naokół grajka, który zabiera się do opowiadania treści:)

GRAJEK. — Jako Morgana do króla Artura
posłała tarczę, którą wywróżyła
wielkie kochanie dobrego Tristana
i kwieciu równej Izoldy. To będzie
powieść o damie najpiękniejszej w świecie

i najpiękniejszym z rycerzy. I jako
ona-ć Izolda wespoły z Tristanem
wypiła trunek, przez jej matkę Lottę
przygotowany dla niej i dla króla
Marka i jako ów trunek przyprawił
o śmierć oboje kochanków; to powiem...

(Damy słuchają z uwagą. Grajek bierze akord na skrzypcach i zaczyna śpiewać:)

GRAJEK. „A kiedy ranna zabłysła jutrzenka,
wówczas król Marek i szlachetny Tristan..."

GŁOS OSTASIA z głębi: Apulijskiemu powiedzcie łotrowi,
że sobie ręce i nogi umyję
w jego posoce...

ALDA. O! messer Ostasio!

GARSENDA. Chodźmy stąd! chodźmy!

(Grupa słuchaczek nagle się rozpierzcha. Śród śmiechów i chichotów zbiegają po schodach; widać, jak giną w logii.)

GRAJEK. A gdzie moja kurta?
polecam damom moją piękną kurtę
i ten mój szkarłat.

ALTICHIARA wychylając się z loggii:
Przyjdź o godzinie dziewiątej, a wszystko
będzie gotowe.

Exit.

SCENA DRUGA.

Wielką bramą w głębi wchodzi OSTASIO z Polenty w towarzystwie pana TOLDA BERNARDENGA.

OSTASIO chwyta przerażonego grajka. Co ty tu robisz, łotrzyku?
Z kim to mówiłeś? Z damami? Co? Jaką
wszedłeś tu drogą? Odpowiedz! Czyś przybył
z panem Paolem Malatestą? Gadaj!

GRAJEK. Aj! Wasza Miłość za bardzo mnie ściska!

OSTASIO. Przyszedłeś z panem Paolem?

GRAJEK. Nie, panie.

OSTASIO. Kłamiesz!

GRAJEK. Tak, panie.

OSTASIO. Mówiłeś z damami.
Coś im powiedział?... O panu Paolu?
O czem gadałeś? Mów, o czem gadałeś?

GRAJEK. Nie, Wasza Miłość!... O panu Tristanie!

OSTASIO. Już ty dwa razy mnie nie okpisz, bratku!
Hej! od Tristana wyjdziesz stąd smutniejszy
na całe życie, podły połamańcze!

GRAJEK. Co wy robicie ze mną, panie! panie!
Śpiewałem tylko piosenkę —

o „stole okrągłym“ śpiewałem.
Bo one-ć damy chciały mieć koniecznie
jakąś opowieść rycerską.., Ja jestem
grajkiem i śpiewam z głodu, a ten głód mój
mniemał, że znajdzie w domu pana Gwida
pocześniejszego coś, niźli kułaki.
Nie mam podjezdka, tak na własnych nogach
przybywam z zamku Kalboli,
w którym się zamknął messer Rinieri
i wielką gotuje wyprawę
z siedmiąset chłopa.

OSTASIO. Przybywasz z Kalboli?

GRAJEK. Tak, Wasza Miłość!...

OSTASIO. A może siedziałeś
u Malatestów w Rimino?

GRAJEK. Nie, panie!

OSTASIO. A zatem nie znasz pięknego Paola,
który tak lubi grajków i rad widzi
naokół siebie i grywa i śpiewa?

GRAJEK. Na swe nieszczęście nie znam go, lecz pragnę
udać się k'niemu. A jeśli go znajdę,
to nie odejdę już od jego boku.
Niech żyje imć pan Paweł Malatesta!

(Chce czmychnąć. Ostasio chwyta go za kołnierz i woła łuczníka, strzegącego dziedzińca.)

OSTASIO. Dżiakomello!

GRAJEK. Co myślicie czynić?
Za co bijecie?

OSTASIO. Że za dużo gadasz!

GRAJEK. Jestem milczący! to głód wyje we mnie!
Proszę, zamknijcie mnie w kuchni, a zaraz
umilknę, panie, jak oliwa.

OSTASIO. Złodziejskie plemię! Cicho!
Dżiakomello, tobie
pod straż oddaję tego wyszczekańca...
Wpakuj mu w gębę cny kułak!

GRAJEK. Panie!
Kukła wystarczy, kukiełka!

OSTASIO. Pięść lepsza!

GRAJEK podczas gdy go łuczník ciągnie za sobą.
Ach! gdyby pani Franczeska wiedziała,
co wy robicie tu ze mną! Mam śpiewać
na jej weselu! Niech żyje! Niech żyje
messer Paolo Malatesta!

Exit.

SCENA TRZECIA.

(Z wyrazami gniewu i podejrzliwości syn Gwida ciągnie pisarza do sarkofagu.)

OSTASIO. Tacy grajkowie, taka gawiedź dworska
to istna dżuma dla Romanii — stokroć
gorsza od zgrai cesarskiej. — Języki
niewieście — wszystko słyszą, wszystko mówią,
włóczyć się lubią po świecie, by łowić
różne nowości i nowostki; uszy
kąpią w przeróżnych tajemnicach. Chcecie
wiedzieć, iż rządzca papieski legiwa
z małżonką Lisia z Walkony? Pragniecie
wiedzieć, że Rinier z Kalboli otrzymał
grosze od partyi geremejskiej?... Może
łotr ten rozmawiał z Franczeską?
Jeśli on grajkiem Malatestów,
to już przyniósł wieści
o pięknym panu Paolu
i na nic wszelkie wykręty,
któreś, Ser Toldo, wymyślił
w tej swojej wielkiej mądrości.

SER TOLDO. W tak nędznym
był on rynsztunku,
że podejrzywać nie trudno, ażeby
miał on należeć do świty rycerza
tak wspaniałego, jak messer Paolo,
co lubi hojnie obdarzać

tego rodzaju ludzi.
Aleście dobrze zrobili,
kazawszy wepchać mu kułak.
Taka hołota
ma nieraz dziwne jasnowidztwo rzeczy,
psując rzemiosło astrologom. —

OSTASIO. Prawda!
A i cypryjską ową niewolnicę,
tak drogą siostrze mojej, podejrzywam
o jasnowidztwo — umie sny tłumaczyć...
a od dni kilku widzę moją siostrę
smutną i w ciężkich zatopioną myślach,
jak gdyby miała jakiś sen żałobny;
nie dawniej, jak wczoraj,
słyszałem u niej tak ciężkie westchnienia,
jakby ją w sercu gryzła jakaś boleść;
Samarytanę
słyszałem również, jak się jej pytała:
„co ci, siostrzyczko? dlaczegoś taka smutna?"

SER TOLDO. Panie Ostasio! to maj!

OSTASIO. Nie będziemy
mieli spokoju, póki się nie zawrze
tego małżeństwa. A przytem, ser Toldo,
wielce się boję, aby nie nastąpił
jakowy skandal.

SER TOLDO. Bo trzeba wam wiedzieć,
kim wasza siostra,
jaki to dumny jest umysł. Niech stanie
Gianciotto przed nią, kuternoga
nieokrzesany, z oczami
rozszalałego dyabła,
to, jeśli kontrakt małżeński nie będzie
spisany przedtem, ani wy, ni ojciec,
ani nikt inny nie zdoła
znaglić jej k'temu, by wyszła za niego,
chociażby miecz jej przyłożyć do gardła,
chociażby wlec ją za włosy
wskróś ulic miasta Rawenny!

OSTASIO. Wiem o tem dobrze, ser Toldo; mój ojciec
dał jej za niańkę jedną z swoich szabel,
dziwnie hartowną,
skąpaną we krwi Ceteny w tym czasie,
gdy był podestą.

SER TOLDO. Rozważywszy wszystko,
trzeba nam będzie nabrać przekonania,
że niema tutaj żadnej innej drogi,
prócz raz obranej. To też gdy w zastępstwie
Jana Kulawca zjawi się Paolo
z pełnem zleceniem,
by ją zaślubić dla brata,
wydaje mi się, że bez żadnej zwłoki

trzeba przystąpić do aktu, jeżeli,
messer Ostasio, pragniecie mieć spokój.
Paolo wielce jest pięknym,
wielce przyjemnym młodzieńcem, naprawdę,
lep to nielada! Lecz zasię
łatwo jest wiedzieć,
że jest małżonkiem pani Orabilej.
A wyście grajka schwytali, z obawy
aby nie gadał za wiele.

OSTASIO. Słusznie mówicie, ser Toldo.
Niema co zwlekać. Dziś wieczór z Valdoppio
wróci mój ojciec; trzeba się postarać,
by wszystko było na jutro gotowe.

SER TOLDO. I owszem, messer Ostasio.

OSTASIO. A potem?
Co będzie potem?

SER TOLDO. Jeżeli we wszystkiem
sprawim się mądrze i skrzętnie,
to ten nasz podstęp madonna Franczeska
odkryje wówczas dopiero,
kiedy w Rimino,
rano, po nocy poślubnej,
ujrzy, jak z łoża ~ ~ ~

OSTASIO *zmieszany.* Wszakże to wygląda
na straszną mściwość!...

SER TOLDO. — — — Zobaczy, jak z łoża
wstaje Gianciotto!

OSTASIO. Jaka ona piękna!
A my tu wszyscy niejako się mścimy
na jej piękności, jak gdyby sprawiała
hańbę naszemu domowi;
ona, co między naszem żelaziwem
jak kwiat wyrosła! Za pomoc stu chłopa
my ją dajemy Kulawcowi! Słuchaj,
czyż ona całej nie warta Romanii?
Ty to, fałszywy pismaku, nakładłeś
do głowy ojcu mojemu!
Ja nie chcę!
Tyś uskutecznił ten handel!
Słyszysz?

SER TOLDO. Ja-ć czuję, że was ukąsiła,
messer Ostasio, jakaś tarantula!
zda mi się przecież, że w całej Romanii
lepszego niema zamążpójścia... Prawda?

OSTASIO. Od Malatestów? Kimże są, powiedzcie,
owi panowie z Verucchio?... Czy może
da nam ten związek Cetenę,
Cerwię, Faenzę, Forli, Ciwitellę,
choć pół Romanii?
Stu dostajemy chłopa
na wypędzenie partyi Trawersarów —

wielka mi pomoc!
A Dowadollo, Gello, Montaguto,
żali są w naszych rękach? Gianciotto!
Cóż to za jeden? Jeżeli pomyślę,
że wdowa po Trawersarym,
ta stara suka parszywa,
dostała jeszcze po krewnym papieskim,
synu Andrzeja, króla Węgier — — —

SER TOLDO. Co was obchodzi, panie, król węgierski?...

OSTASIO. ...A my tu siedzimy
z tym apulejskim chamem,
z tym Guglielmotto, co się chełpi,
że prawowitem jest dziecięciem
Paola Trawersari
i bunt nam wszczyna! Nie ma też wątpienia,
że go na zawsze chyba nie uśmierzysz
z tą setką chłopa; powróci, gdy tylko
otrzyma pomoc od Forliańczyków.
Czegoż się wówczas spodziewać
po Malateście?

SER TOLDO. O, Malatesta jest dzisiaj największym
gwelfem w Romanii i pierwszym kościoła
obrońcielem, w łaskach u papieża,
jest namiestnikiem Florencyi z ramienia
króla Karola i ma sławę wodza. —

OSTASIO. Panie pisarzu! Gwido z Montefeltro
w puch-ci go rozbił na moście Procola!
Panie pisarzu! Gwilelmino Pazzi
pod Reversano raził go i zmusił,
by mu odstąpił opokę ceseńską.

SER TOLDO. A to zwycięstwo pod Colle Valdelso
na Sijeńczykach,
kiedy położył trupem Provenzana
Salvaniego? A potem jak z marchii
pojmał ankońskiej hrabiego Gwidona
i z jego ludźmi zabrał do Rimino?
A potem zasię jak przejął
tajemne listy cesarza
Baldwina do króla Manfreda?
Zda mi się,
panie Ostasio,
że wasza pamięć nie jest zbyt gwelficka.

OSTASIO. Gdyby sam dyabeł zjawił się i dał mi
władzę zniszczenia przeklętego rodu
Apulijczyka
i niewolnicy Paskietty, ja z djabłem
trzymać dziś będę, mój panie pisarzu!

SER TOLDO. Dobrze odgadłem, dobrze: tarantula
jakowaś, panie, ukąsiła ciebie.

OSTASIO. Cesarz Fryderyk — niech mu Pan Bóg za to

da kroplę wody w otchłaniach piekielnych! —
Na wieki wieków wygładził to plemię,
rzuciwszy w piec rozpalony
Aikę Trawersari.
Wtem dnia pewnego zjawia się w Rawennie
razem z kochankiem jakaś niewolnica,
Paskietta, mówiąc: „ja jestem Aika!"
I wraz się znalazł arcybiskup Filip,
który ją prawną ogłosił dziedziczką
i obdarzywszy księstwem,
uczynił naszą władczynią! I patrzcie:
taki zbójecki małżonek
stoi na czele partyi Ghibellinów
przeciw domowi Polentów! I dzisiaj
trzeba, ser Toldo, krwawo się użerać
z takim Gwilelmem Francisio, bękartem
nędznych pastuchów! Rozumiesz to, panie?

SER TOLDO. Aleście go już wygnali z Rawenny?

OSTASIO. Z ludźmi Gianciotta Malatesty?

SER TOLDO. Messer Ostasio! Jesteście niewdzięczny!
W dwóch dniach uprzątnie z ulic Gianciotto
wszystkie przeszkody i wszystkie zapory.
Od Sant' Agata do Porta Mamante
wytłukł hołotę Anastasyów.
Od San Simone do Porta Vittore,
odrazu, jak grom,

ciężkiemi rozbił działami
pospolitego wroga!
I nie oszczędzał siebie, tylko w własnej
spełniał osobie przechwalebne czyny
z tarczą na piersiach i ze szpadą w ręku!
W sam środek tłuszczy
wdarł się na swoim srokoszu,
na rozjuszonym bachmacie,
który tak dzielnie rozprawiał się z wrogiem,
iż on dziesięciu —
najmniej dziesięciu chłopa miewał naraz
pod kopytami swego konia!
Stefan Sibaldo,
który był blisko niego, opowiadał,
że gdy Kulawiec do walki się bierze,
widok naonczas ma się przewspaniały,
takim jest mistrzem w wojennej przeprawie!

OSTASIO. O panie Toldo! macie, widać, udział
w łupie! Nieprawda? Odbieracie sztukę
tym, co śpiewali
sławę dwunastu baronów
jasnobrodego cesarza Karola!
Ile też za to dostaliście?

SER TOLDO. Tak, tarantula apulijska
to, wiedzcie, rodzaj pająka,
która w człowieku, ukąszonym przez nią,

różne i dziwne wywołuje zmiany —
chyba nie jestem już tym wielkim mędrcem
jakim dotychczas byłem!
Malatestowie nie lubili nigdy
ponosić hańby, a zasię Kulawiec
poznał już dzisiaj, jak można się dostać
w mury Rawenny. Oddajcie swą siostrę
królewiczowi Salerna,
albo też doży Wenecyi. —

OSTASIO zamyślony. Tak! Ona
warta królestwa! Jaka ona piękna!
Niema tak prostej szpady, jak jest prosty
wzrok jej, gdy rzuci spojrzenie! A wczoraj
pytała mi się: „komu mnie dajecie?“
A kiedy stąpa z tym włosem rozwianym,
opadającym swobodnie wokół pasa
i wokół silnych bioder (a jak silna,
chociaż tak blada), kiedy wstrząśnie głową,
to sprawia taką radość,
jako proporzec na wichrze, gdy człowiek
oblega miasto bogate
z jaśniejącymi szyszaki!
Wówczas się zdaje,
jak gdyby w swoich ręku
trzymała orła Polentów,
aby niby sokoła
na łup wypuścić obfity!

A wczoraj mi się pytała:
„Komu mnie oddajecie?“
Któżby mógł patrzeć na jej śmierć?

SER TOLDO. Możecie
dać ją za króla Węgier,
lub jeszcze lepiej — za Paleologa.

OSTASIO. Milczcie, ser Toldo,
nie mam dziś cierpliwości!

GŁOS BANNINA. Ostasio! Ostasio!

OSTASIO. Bękart Bannino wywiesił
język i sapie... Wiedziałem — — —

SCENA CZWARTA.

W bramie, w głębi sceny zjawia się BANNINO, zadyszany, z włosem rozwianym, jak gdyby w ucieczce. Z nim razem wchodzą: ASPINELLO, ARSENDI, VIVIANO DE VIVII i BERTRAND LURO, pokrwawieni i okryci kurzem.

BANNINO. Ostasio!
Forleańczycy napadli na wozy
z solą, pod Cerwią. Rozbili
naszą eskortę i poprzewracali
wozy.

OSTASIO krzyczy. Wiedziałem!
Lecz ciebie, widać, nie zarżnęli!

ASPINELLO. Ghibellinowie, wygnani z Bolonii
z towarzyszami z Faenzy i Forli,
po całym włóczą się kraju,
pustoszą wszystko i ogniem i mieczem.

OSTASIO. O Jezu Chryste! Dobra to nowina
dla Namiestnika Twojego!

VIVIANI. Spalili
Montevecchio i Valcaprę
i Pianetto. Spalili
Licyuszowi z Valbory
Strabatenzę i Biterno.
Hrabi Ugowi z Cerfugano
zniszczyli ziemię w Rontanie
a i w Quarmento.

OSTASIO. Ulituj się Boże!
Dobre nowiny dla Twych sług! o dobre!

BERTRANDO. Gwido di Montefeltro
wyruszył przeciw Calboli
z taranami i procami
i zamek weźmie.

OSTASIO. Jeszcze! jeszcze! Chryste,
święć się Twe imię na wieki!

VIVIANI. Na czele
Forleańczyków widziano Scarpettę
Ordelaffczyka z Forleańczykami!

BANNINO. Rozbili nam eskortę,
powywracali wozy,
zabrali bydło i konie, zatłukli
Malavicina z Lozzy
i wielu chłopa i pojmali
Pagana Coffę, reszta się rozpierzchła
i precz uciekła — ku morzu.

OSTASIO. Ty zasię
pocwałowałeś w stronę lądu, prawda?
Wiedziałem o tem, wiedziałem to dobrze!
Gdzieś podział szpadę?
Rzuciłeś razem z szyszakiem...
„W nogi kto może!“ takie twoje hasło!

BANNINO. Szpadę-m połamał w gniewie,
bić się pragnąłem koniecznie!
Było ich z trzystu albo też z czterystu.
Aspinello i Bertrando,
powiedzcie, żem dzielnie się sprawiał,
potwierdź to, Viviani!
Miałem przeciwko sobie
jakich dwudziestu, co mnie pojmać chcieli;
tą oto ręką torowałem drogę
wskroś mięsa i kości! Powiedzcie!

OSTASIO. Widzisz, że mówić nie mogą,
krew tamujący i lice
ocierający z kurzu! Tyś nietknięty!
Puklerz i łokcie masz czyste. Twe wrogi
snać pozbawieni byli żył. Na białem
nie masz obliczu ni jednego cięcia,
ty wygadany chwalbiszu!

(Trzej rycerze odsuwają się na bok, zdejmując zbroje i ocierając się z potu.)

BANNINO. Strzeż się, Ostasio, strzeż się!

OSTASIO. Wiedziałem to dobrze!
Śmiech brał mnie pusty,
kiedy cię ojciec wysyłał,
byś towarzyszył taborowi. Rzekłem:
„Niechże go biskup z Cervi
pobłogosławi swoim pastorałem!
Ale tym razem mieszkańcy Rawenny
soli nie ujrzą!“ Co? czym się pomylił?
Idź-że, Bannino, idź zajęcze płucka
siekać dla swoich krogulców!...

BANNINO. A milcz-że!
Gdym ja się sprawiał z wrogiem,
tyś knuł konszachty z pisarzem.

OSTASIO. Ty wodzireju ladacznic! Nie mogła
pochwycić ciebie forleańska zgraja,

boś miał za szybkie nogi,
lecz ja cię schwycę! —

BANNINO. Zdradą, jak twój zwyczaj.

OSTASIO. Już ja tym razem postaram się o to,
abyś się ojcu nie wyłgiwał bekiem.

SER TOLDO. Spokój! spokój!

BANNINO. A ja mu powiem to, co wiem aż nadto
dobrze.

OSTASIO. Co powiesz?

BANNINO. Ty mnie już rozumiesz!

SER TOLDO. Spokój! spokój!
Jesteście bracia!

OSTASIO. On z innego gniazda!

SER TOLDO. Messer Ostasio! Wszak to jeszcze dziecko!

OSTASIO. A zatem gadaj, czy umiesz przynajmniej
ranić językiem.

BANNINO. Ty mnie już rozumiesz!
Szkoda słów na to.

OSTASIO. Nie! nie! wylej żółć swą,
która-ć farbuje oblicze! No, wylej!

Bo ja wycisnę ją z ciebie, jak wodę
z mokrego płata!

BANNINO. Ostasio, nie umiem
wylewać żółci, tak, jak ty potrafisz
czyste nalewać wino
ręką, co nie drży...

OSTASIO. Co za wino?

BANNINO. Czyste,
czyściutkie wino!

OSTASIO. Posłuchaj, bękarcie!

BANNINO. Jednego razu ojciec nasz poczciwy
zasłabł. O, wielceś troskał się o niego,
miły synalku! Rozumiesz mnie teraz?
Wiem to, co tobie wiadomo!
Niech Pan Bóg
każe twej uschnąć prawicy!

OSTASIO. To babskie kłamstwa! Bękarcie! nadeszła
twoja godzina!
Na nic ucieczka twoja z ręki wroga!

(Wyciąga szpadę i rzuca się na Bannina, który zręcznym susem ucieka przed cięciem. OSTASIO rzuca się za nim, SER TOLDO usiłuje go powstrzymać.)

SER TOLDO. Messer Ostasio! Co myślicie czynić?

Dajcie mu spokój! puśćcie go! to brat wasz!
Co chcecie czynić?

(Niewolnica zjawia się w loggii i przypatruje się zajściu.)

BANNINO. Ojcze mój! ratunku!
Franczesko, siostro! ratunku! Nędzniku,
chcesz mnie mordować! Nędzniku! Nie! przebacz!
Nie, nie, Ostasio, przebacz! Nic nie powiem!

(Czując szpadę na gardle, klęka.)

Nie z twojej ręki była ta trucizna.

(Trzej rycerze przybiegli bez broni i zbroi.)

Nie, ja nie powiem! Przebacz!... A!...

OSTASIO. Drobnostka!
Nic! nic!

(Nachylony przygląda się leżącemu na ziemi Banninowi).

Drobnostka! Zemdlał! Ot, po wierzchu
draśnięta skóra — w miejscu obojętnem.
To nie ze złości. Drasnąłem go trochę,
ażeby odwykł obawiać się stali,
aby nauczył sprawiać się z wrogami
cokolwiek dzielniej i nie rzucać szpady
ani szyszaku dlatego, że łatwiej
skierować cugle do ucieczki
przed Ghibellinem.

(Trzej rycerze podnoszą omdlałego Bannina.)

Zanieście go, proszę,

do Gabbadea, niech mu zatka żyłę
solą ze żupnic cerwijskich.

(Patrzy, jak rycerze wynoszą rannego. Zamyka wielką bramę z łoskotem. — Niewolnica znika z loggii w milczeniu.)

Ser Toldo,
chodźmy.

SER TOLDO. Co na to powie messer Gwido,
skoro powróci?

OSTASIO. Ojciec mój rozpieszcza
tego bękarta.

(Patrzy ponuro w ziemię).

On z innego gniazda.
On nie z orlicy ulągł się, lecz z sroki.
Słyszałeś waćpan, o czem on majaczył?
O jakiemś winie.

(Z wściekłości zamilkł na chwilę.)

To jeden ze służby,
przez Anastaziów podmówion; strzeż Chryste
mojego ojca i nasz dom przed zdradą!

SER TOLDO. A co się stanie z madonną Franczeską?

OSTASIO. Tak, będzie żoną Kulawca!

SER TOLDO. Pomagaj
Boże!

OSTASIO. Przed nami wielkie dzieło zemsty:
i łza niejedna, jeśli Bóg pomoże,
spłynie po świecie,
łza bardziej gorżka
niżeli wszystka sól ze żup cerwijskich.
Chodźmy, ser Toldo...
Chodźmy, Paolo Malatesta czeka.

Exeunt ambo.

SCENA PIĄTA.

Niewolnica zjawia się z wiadrem i ścierką. Milcząco schodzi bosemi stopami po schodach. Przygląda się kałuży krwi na posadzce i klęka, aby ją obmyć. Z górnych komnat słychać śpiew towarzyszek Franczeski, podczas gdy niewolnica zajęta jest swą pracą.

CHÓR PANIEN.
Oj biada! Poznałam, jak w duszy
nadmiar miłości się pali — oj biada!
Oj biada! Któż mnie ocali,
nim żal ten serce mi skruszy! Oj biada!

(Z komnat wychodzą i idą loggią FRANCZESKA i SAMARYTANA, wzajemnie opasawszy się ramionami. Za niemi chór panien z kądzielami i lnem różnobarwnym w ręku. Przystają w loggii, jak gdyby w kantoryi, podczas gdy obie siostry schodzą ku progowi ogrodu. Niewolnica, zmywszy krew z posadzki i chcąc zataić zajście, wylewa prędko wodę skrwawioną do stojącego w pobliżu sarkofagu z kwiatami.)

FRANCZESKA, zatrzymując się na schodach.

To miłość pcha je do śpiewu.

(Przechyla głowę nieco w tył, jak gdyby śledziła tchnienie lekkiej, drżącej melodyi.)

CHÓR PANIEN. Oj biada! Oj szukam ostoi
przed troską, co serce mi niszczy! Oj biada!

FRANCZESKA. Jak gdyby były pijane woniami!
Czy ty nie słyszysz? Na bolesną ucztę
śpiewają sprawy
przedoskonałej radości.

(Odejmuje rękę od pasa siostry, jak gdyby się chciała uwolnić z jej objęć. Staje w miejscu, tamte zaś schodzą.)

CHÓR PANIEN. Oj biada! śród szczęścia zgliszczy
życie goryczą mnie poi — oj biada!

FRANCZESKA w zadumie. Jako ta woda bieżąca,
która wciąż płynie i płynie,
a oko tego nie widzi,
taką jest moja dusza.

SAMARYTANA w nagłem przerażeniu tuli się do siostry.
Dokąd ty idziesz? Któż mi cię zabiera?

FRANCZESKA. Przebudziłaś mnie.

(Śpiew umilka. Panny podchodzą ku drugiej poręczy loggii i z plecami, zwróconemi do widza, patrzą w drugi, leżący pod niemi dziedziniec. Zdają się coś śledzić. Dwurożne fryzury i wysokie kądziele błyszczą w słońcu,

a od czasu do czasu od twarzy i sukien płyną w jasną przestrzeń powietrza szepty i szelesty.)

SAMARYTANA. O siostrzyczko, siostrzyczko, posłuchaj:
pozostań jeszcze ze mną!
Pozostań, gdzieśmy wyrosły!
Nie odchodź, siostro! Nie zostawiaj samej!
Pozwól mi moje łóżeczko
ścielić i nadal przy twojem —
niech w nocy słyszę twój oddech!

FRANCZESKA. Przybył już, przybył.

SAMARYTANA. Kto? ten, co zabrać chce ciebie?

FRANCZESKA. Przybył, siostrzyczko!

SAMARYTANA. Ten bezimienny, bezlicy —
Nie widziałyśmy go dotąd.

FRANCZESKA. A może
ja go widziałam.

SAMARYTANA. Ty? kiedy?
Nie rozłączałam się z tobą,
z twoim oddechem.
Na twoich oczach zwisało me życie.
Gdzieżeś go mogła widzieć,
siostro, bezemnie?

FRANCZESKA. Tam, gdzie ty, słodkie me życie,

dotrzeć nie mogłaś,
w głębokiem, samotnem miejscu,
gdzie bezustannie
wielki się pali ogień.

SAMARYTANA. Przemawiasz zagadkami,
a lice twoje jakby przesłonięte.
Ach! zdaje mi się, żeś ty już odeszła
i że zdaleka
jeszcze się ku mnie odwracasz, a głos twój
jak gdyby straszną pobrzmiewa wichurą.

FRANCZESKA. Uspokój-że się, moja duszo droga,
moja ty mała gołąbko!
Dlaczego jesteś taka przerażona?
Uspokój-że się. Niedługo
nadejdzie i twoja godzina
i ty z naszego precz ulecisz gniazda,
i twoje małe łóżeczko,
które zaścielasz przy mojem,
stać będzie opuszczone —
i ja o świcie słyszeć już nie będę
jak bosa podbiegasz ku oknu,
już ja cię widzieć nie będę, ty moja
mała gołąbko, jak biegniesz ku oknu
bosemi nożętami —
już ja cię słyszeć nie będę, jak wołasz:
„Franczesko! wzeszła jutrzenka,
kogut zlatuje już z grzędy!“

SAMARYTANA. A jednak będziemy żyły,
o, mimo wszystko będziem żyć — o biada!
a czas wciąż płynie —
płynie i płynie, jak zawsze.

FRANCZESKA. Już ty mnie rankiem pytać się nie będziesz:
czemu jęczało twe łóżko, jak trzcina?
A ja ci nie odpowiem:
Obracałam się, by zasnąć, a we śnie
widziałam, siostro, we śnie, który śniłam...
Już ja ci nie opowiem,
com zobaczyła we śnie...
I trzeba będzie umierać;
ach! minie wszystko — trza będzie umierać.
A czas wciąż płynie,
a czas wciąż płynie, jak zawsze!

SAMARYTANA. Serce me bolem napełniasz, Franczesko,
i, patrzaj, cała
drżę z przerażenia.

FRANCZESKA. Uspokój się, siostro.

SAMARYTANA. Opowiadałaś mi sen, który śniłaś
wczorajszej nocy, a podczas
kiedyś mówiła do mnie,
zdawało mi się, że słyszę
jakoweś gniewne odgłosy,
a potem jakiś krzyk,

a potem jakieś kołatanie w bramę,
co się zamknęła, a potem
cisza.
Nie dokończyłaś —
twe towarzyszki zaczęły kanzonę. —
I serce moje lękało się wielce,
siostro, o ciebie.
Komu oddaje cię ojciec?

FRANCZESKA. Pamiętasz
ów dzień sierpniowy, gdyśmy były same
o tam! na wieży?
Spoglądałyśmy, jak nad głębią morza
wzbijał się obłok nawalny
w gorącym wichrze, co nam krtań wysuszał.
I cały ciężar pochmurnego nieba
zwisał nad nami
i naokoło, cały las, daleko,
aż po wybrzeże Chiassi, był czarny,
jak owo morze, i ptactwo stadami
w lot uciekało przed idącą burzą.
Pamiętasz dzień ten? Byłyśmy na wieży,
a potem, nagle, była cisza. Wicher
umilkł. Słyszałam bicie twego serca,
a potem odgłos młotka:
jakiś rozbójnik, jadący po grabież,
podkuwał konia na okraju drogi...
Las był milczący, jak cień nad grobami.

Rawenna cała posępna, jak miasto,
które splądrował wróg z nadejściem nocy.
Zdawało nam się, że śmierć na nas czyha
pod tym wiszącym obłokiem. A jednak
nie uciekłyśmy. Pamiętasz? Powieki
ani nie drgnęły — czekałyśmy gromu.

(Zwraca się ku niewolnicy, stojącej nieruchomo nad otwartym sarkofagiem.)

Powiedz, Smaragdi, któż to był ten w waszej
pieśni ludowej, co podkuwał konia
w blasku księżyca? Mówiła mu matka:
Proszę cię, synu, podczas tej wyprawy
nie pojmaj brata ze siostrą,
kochanka razem z kochanką.
A on, człek krwawy, odrzecze:
Napotkam trojga, tak zabiorę trojga,
gdy znajdę dwoje, zabiorę z nich jedno,
a jeśli ujrzę jedno, nie sfolguję
temu jednemu — zabiorę!
Jakżeż, Smaragdi, zwie się on w twym kraju?

SMARAGDI. Przeklęte nazwisko,
którego nawet wymienić nie wolno.

FRANCZESKA. Co czynić będzie Smaragdi bezemnie?
Cóż, odjeżdżając, mam ci pozostawić?

SMARAGDI. Zostawcie mi, pani,
trzy kubki goryczy:

jeden wypiję, gdy wstanie poranek,
drugi w południe,
trzeci, gdy wieczór zapadnie.

FRANCZESKA. Nie, nigdy
trzech ci goryczy kubków nie zostawię —
pojedziesz ze mną razem do Rimino —
będziemy miały okienko na morze:
Ja ci opowiem każdy sen, byś mogła
widzieć w nich lice radości lub bolu;
będę-ć mówiła o tej siostrze słodkiej,
o tej gołąbce małej,
a ty zaś, stojąc przy oknie,
patrząc na łodzie korsarskie,
będziesz śpiewała: „Do jakich
zawiniesz portów, mój statku,
na jakiem rzucisz kotwicę wybrzeżu?“ —
„Zawinąć chcę do Cypru,
rzucić kotwicę pod Limisso,
na ląd wysadzić żeglarzy
za pocałunek, a zasię
za miłość wysadzić sternika“.
Chcesz-li Smaragdi, bym cię wzięła z sobą?

SMARAGDI. Wielkie to szczęście dla mnie,
choćby przez ciernie kroczyć i płomienie,
aby być z tobą.
Jestem jak niebo z gwiazdami,
jestem jak morze z falami,

FRANCZESKA. Morze z falami! ~ ~ ~
Ale, Smaragdi, po coś przyszła z wiadrem?
Powiedz!

SMARAGDI. Podlałam krzak róży.

FRANCZESKA. Dlaczego
czynisz to teraz? poza zwykłą porą?
Samarytana pogniewa się! Ona
podlewa krzak różany,
gdy dzwon wybije wieczór.
Samarytano, cóż ty powiesz na to?

SAMARYTANA. Niech kwiat ten uwiędnie,
kiedy ty z domu odchodzisz, Franczesko.

FRANCZESKA. Jaki on piękny!
A może nawet jest święty, wyrosły
w tej trumnie dawnej, która była może
grobem jakiego męczennika
albo też jakiej chwalebnej dziewicy.

(Obchodzi otwarty sarkofag i palcami dotyka się rzeźb na wszystkich czterech ścianach.)

Oto Zbawiciel
lwa ma pod sobą i węża, Elżbieta
nawiedza Pannę Maryę;
Zwiastun anielski zjawia się Dziewicy,
jelenie gaszą pragnienie u źródła.

(Prostuje się, wyciąga ramiona, jak gdyby zamknąć w nich chciała krzak róży.)

Krew męczenników wykwita purpurą,
i ogniem. Spojrzyj, siostro, jak on płonie!
Spojrzyj, jak krew ta goreje!
Myśmy ją własną zasadziły ręką —
tak, w październiku, w dniu, w którym szkarłatny
orzeł Polentów odniósł był zwycięstwo.
Pomnisz, jak groźne rozbrzmiewały rogi
od Porta Gaza do Torre Zancano
na cześć nowego sztandaru,
który nam ojciec kazał
uszyć z czterdziestu łokci karmazynu.
Potężne drzewce jego czy pamiętasz?
My same
złotaśmy dały na obrzeże —
sztandar zwyciężył. I krzak ten
był dla nas święty —
był nietykalny dla nas,
niby dziewiczość, i nigdy
nie zerwałyśmy ani jednej róży —
przez te trzy wiosny kwitły
i kwiat traciły
w tym sarkofagu. Lecz nigdy
nie było tyle pęków, co w tym maju;
ze sto ich będzie — więcej! więcej! Spojrzyj!
One-ć dziewice z San Apollinaro
takim nie płoną ogniem
na swojem niebie złocistem.

Samarytano!
Samarytano, powiedz,
która z męczennic — leży
tu pogrzebiona? Która
złożona tutaj do grobu po wielkiem,
wielkiem męczeństwie? powiedz!
Spojrzyj, o spojrzyj: ten cud krwi!

SAMARYTANA. Co mówisz,
co mówisz, siostro? Tak przemawiasz do mnie,
jakby w gorączce.

BIANKOFIORE *z loggii.* Madonno Franczesko!

ADONELLA. Madonno!

FRANCZESKA. Czego wy chcecie?

ADONELLA. Madonno,
przyjdźcie tu do nas co tchu!

ALDA. Przybiegnijcie!

ADONELLA. Zobaczyć swego małżonka!

BIANKOFIORE. Przechodzi
właśnie dziedzińcem razem z waszym bratem,
panem Ostasio. Toldo Berardengo
jest także z nimi.

ALDA. Madonno Franczesko!
Chodźcie co prędzej! O ten! ten!

(Córka Gwidona biegnie po schodach na górę. SAMARYTANA chce w pierwszej chwili pójść za nią, wnet się jednak zatrzymuje w miejscu, bez siły i tchu.)

ADONELLA pokazując kogoś Franczesce, przechylonej nad balustradą.
Ten właśnie
ma zostać waszym małżonkiem.

GARSENDA. Szczęśliwa,
o jak szczęśliwa!
Zaiste, rycerz najpiękniejszy w świecie!
Patrzajcie, jakie ma włosy —
andegaweńską modą
spadają mu na ramiona!

ALDA. Jakiego wzrostu i jak leży na nim
płaszcz, spięty pasem, jakie ma wyloty
aże do ziemi sięgające!

ALTICHIARA. Jaka
spina i jakie koronki!

BIANKOFIORE. Wysoki, smukły i chód ma królewski!

ADONELLA. A jakie białe ma zęby! Błysnęły,
kiedy się nieco uśmiechnął! Madonno,
nie widzieliście?

GARSENDA. Szczęśliwa, szczęśliwa,
która całować go będzie
w te usta!

FRANCZESKA. Milczcie!

ALDA. Już go niema! Wszedł już
w portyk.

(Niewolnica otwiera kratę, zamyka za sobą ukradkiem i znika w ogrodzie.)

FRANCZESKA. Ach! milczcie! milczcie!

(Odwraca się, zakrywa twarz obiema rękami, opuszcza po chwili ręce i wygląda, jakby przemieniona. Po pierwszych stopniach schodzi powoli, potem z nagłą zbiega szybkością, aby się rzucić w objęcia siostry, czekającej u stóp schodów.)

ALTICHIARA. Messer Ostasio wraca sam, bez niego.

BIANKOFIORE. Dokąd tak biegnie niewolnica? Biegnie
przez ogród.

GARSENDA. Pędzi jak wyżeł. (Śmieje się.) Lecz dokąd
ona tak biegnie? dokąd?

ADONELLA. Zaśpiewajmy
pieśń o nadobnej Izoldzie:
„O drzewo daktylowe".

(Panny ustawiają się w loggii.)

CHÓR PANIEN. O drzewo daktylowe,

o moja słodka miłości,
co teraz czynić zamierzasz?

Magister Antonius tonum dedit.

FRANCZESKA, znajdująca się w objęciach siostry, nagłym wybucha płaczem. CHÓR przerywa pieśń. Panny szepczą między sobą.

BIANKOFIORE. Madonna płacze.

ADONELLA. Płacze!

ALDA. Czemu płacze?

ALTICHIARA. Serce ją boli z radości.

GARSENDA. Tak, w samo
ranił ją serce. Jeśli ona piękna,
to i on piękny — — Malatesta!

ADONELLA. Dla niej
jakby urodzon. Oboje
pod jedną zrodzeni gwiazdą.

GARSENDA. Ona szczęśliwa
i on szczęśliwy!

ALDA. Niech długie żyje lata
ten, który da jej wieniec.

BIANKOFIORE. Upadł pierwszy deszcz wiosenny,
zieleni się niwa —
spadła pierwsza łza miłości
i dusza szczęśliwa.

ADONELLA. Teraz się śmieje! Teraz się śmieje!

BIANKOFIORE. Widzisz, jak rosa
śmieją się wszystkie jej łzy.

GARSENDA. Idź, zagrzej kąpiel,
przygotuj grzebienie.

(Panny rozbiegają się po loggii, szeleszcząc sukniami, jak ptactwo w gęstwinie, podczas kiedy wszystkie kądziele z pasmami różnobarwnego lnu połyskują, jak pochodnie, na skrawku nieba. Niektóre udają się do komnat i potem znowu wracają; jedna staje na straży i patrzy, a wszystkie szepczą półgłosem i tłumią swe kroki.)

BIANKOFIORE. Mamy te nowe, srebrne
napełnić flakoniki
wódką różaną i pomarańczową.

ALDA. Prześcieradłami
o jedwabnistych obrąbkach
mamy napełnić cztery wielkie skrzynie.

ALTICHIARA. O ileż to cudnych
haftowałyśmy wezgłowi,
o jakich nawet nie śniły
panie z Rimino.

ADONELLA. O, jeszcze dużo mamy do czynienia.

GARSENDA. Trzeba nam zwijać bieliznę
obszytą koronkami
i kołdry składać z pozłocistej lamy.

BIANKOFIORE. Trzeba przeliczyć siatki,
obrączki i spiny i pasy.

ADONELLA. O, dużo jeszcze mamy do czynienia.

GARSENDA. Przysięgam,
że większe wiano wnosi Malateście
córka Gwidona,
niż weneckiemu doży
przyniosła córka Boemonda,
króla Dalmacyi i Serbii.

ADONELLA. Dosyć też mamy wódki lawendowej,
by, gdy pojedzie przez morze,
zlewać to morze wonnością.

ALDA. Wzdyć pokażemy tym nieco
prostaczym paniom z Rimino,
jak się przyrządza wonności.

BIANKOFIORE. I jak się gra i śpiewa
i tańczy.

ALTICHIARA. O rety! o rety!
bym tylko nie zapomniała
szkarłatną przypiąć łatę
na Giana Figa kubraczku —
wróci o wpół do dziewiątej.

BIANKOFIORE. Powinien mówić nam dalej

o tarczy Morgany
i o tym trunku. ~ ~ ~

ALDA. Hoho! wesele w maju!
Stu będzie kuchtów
i dań trzydzieście.

BIANKOFIORE. Słóweczko
trzeba Mazarellemu
powiedzieć w sprawie muzyki.

ADONELLA. O, dużo jeszcze mamy do czynienia.

GARSENDA. Więc dalej! do roboty!

ADONELLA. Rzućmy kądziele,
a bierzmy wieńce!

(Wracają do komnat z brzękiem pszczół na roju. FRANCZESKA podniosła twarz zapłakaną i nagłym rozjaśnia ją uśmiechem. Podczas kiedy panny rozmawiają szeptem w loggii, otarła łzy z twarzy swojej i siostry. Teraz mówi, a pierwsze jej słowa łączą się z zespołem ostatnich słów weselnych.)

FRANCZESKA. Siostro, ma siostro!
Daj spokój płaczom, daj spokój! Nie widzisz,
że ja się śmieję? Śmieję się i płaczę
i jeszcze nie dość mam tego. Za ciasne
zda mi się serce na taką potęgę,
płacz mi się zdaje siłą już zużytą,
a śmiech zbyt lekką krotochwilą;

i całe me życie
z wszystkiemi jego żyłami,
z wszystkimi dniami, z wszystkiemi
przenajdalszemi sprawy
aż do tej ślepej i niemej godziny,
kiedym leżała ach! na łonie matki,
a ciebie jeszcze nie było na świecie,
jednem jest dla mnie drżeniem,
drżącem po ziemi okręgu;
we wszystkich źródłach,
które się śmieją i płaczą,
w nieznanych dla mnie miejscach,
kryje się cząstka mej siły; powietrze
pełne jest dla mnie jakichś wielkich krzyków,
a światło
jak gdyby grzmiało grzmotem trąb
i huk i bunt jest we mnie
daleko większy, niźli w ów dzień pomsty,
gdy krew zrosiła
bramy naszego domu.

SAMARYTANA. Franczesko, Franczesko, ma duszo!
Cóżeś widziała, ach! cóżeś widziała?

FRANCZESKA. Nie drżyj, ma siostro, nie drżyj!
Cóż ty chcesz widzieć w mych oczach?
Jaka mnie gnębi choroba? I kogo —
kogom widziała?

Zycie tak płynie,
płynie, jakoby rzeka,
która się rwie na rabunek
i morza znaleźć nie zdoła —
jej szum mnie przeraża...
Ach! bierz mnie!
Bierz mnie ze sobą, droga siostro, bierz!
Zawiedź mnie do komnaty
i zamknij okno,
i daj mi trochę cienia,
i daj mi łyk wody,
i na twem małem połóż mnie łóżeczku,
i zasłoń mnie zasłoną.
I niech ten szum się uciszy,
spraw, aby umilkł ten łoskot,
który rozpiera mą duszę!
Sprowadź mi spokój,
ażebym mogła znów słyszeć,
jak pszczoły majowe
o nasze okna biją skrzydełkami
i jak świergocą jaskółki.
Spraw, bym znów mogła słyszeć twoje słowa,
jak wczoraj, w tej chwili
tak dziś dalekiej,
tak dziś odległej — nie wiem,
wskutek jakiego zaklęcia.
Trzymaj mnie, siostro,
trzymaj i więź mnie przy sobie!

Czekajmy wieczora,
modlitwy czekajmy i snu
i świtu czekajmy, siostrzyczko,
aż twoja wzejdzie jutrzenka.

GARSENDA wpada do loggii. Idzie, już idzie, madonno!
Idzie, madonno Franczesko, ogrodem.
Spostrzegłam go z izby, gdzie skrzynie,
spostrzegłam go pod cyprysami —
Smaragdi wskazuje mu drogę.

(Za Garsendą wpadają inne panny, wesołe i rozbawione; na skroniach mają wieńce radosne i ciągną za sobą trzech w kwiaty strojnych chłopców-grajków z lutnią, skrzypcami i fletem.)

FRANCZESKA blada z przestrachu i wzruszenia, jak gdyby bez zmysłów.
Nie! nie! biegnijcie!
Dziewki, biegnijcie,
by nie przychodził! Biegnijcie
co tchu naprzeciw niego,
aby tu nie przychodził.
Zamknijcie bramy, zagrodźcie
wszelakie przejścia i mówcie,
mówcie mu, że go pozdrawiam...
A ty mnie wspieraj, ty Samarytano,
bym nie uciekła stąd.
Kolana gną się podemną
i oczy moje zaćmione!
Biegnijcie!
O dziewki moje, biegnijcie,

by się natychmiast zawrócił!
Biegnijcie naprzeciw niego
i mówcie, że go pozdrawiam!

PANNY. Jest już! Jak blisko! Jak blisko!

(Oparta na ramieniu siostry, FRANCZESKA idzie schodami do góry; w tej samej chwili zjawia się jednak, z drugiej strony kraty, Paolo Malatesta. Franczeska staje w miejscu bezwładna, a on zatrzymuje się śród krzewów w ogrodzie. Stoją naprzeciw siebie, oddzieleni kratą i nieruchomie patrzą sobie w oczy. Niewolnica ukryła się w głębi. Panny w loggii stają do korowodu, a grajkowie uderzają w muzyczne narzędzia.)

CHÓR PANIEN. Pośród zielonej dąbrowy
Myśliwiec spieszy na łowy,
na cel wziął biedną zwierzynę —
a w biesiadników gronie
w krwi własnej serce tonie,
w obcą wygnane krainę.

Magister Antonius tonum dedit.

(FRANCZESKA puszcza ramię siostry i wolnym zbliża się krokiem do sarkofagu. Zrywa wielką różę szkarłatną, wraca się i przez kratę podaje ją Paolowi Malateście. SAMARYTANA z głową zwieszoną i płacząc idzie po schodach do góry. Panny w wieńcach, zaczynają śpiewać na nowo. W głębi, poza kratą zjawia się BANNINO (przyrodni brat Franczeski) z podwiązanym policzkiem; cofa się na chwilę, potem kilkakrotnie zakratowaną uderza bramę, którą był zamknął Ostasio. Franczeska drży.)

GŁOS BANNINA. Franczesko, otwórz! Franczesko!

ZASŁONA.

AKT DRUGI

AKT DRUGI.

Sala w pałacu Malatestów. Sklepienie łukowe z wystającymi żebrami, wsparte na silnych pilastrach; na dwóch pilastrach w głębi spoczywa łuk, od którego kryty ganek z strzelnicami po prawej i lewej wychodzi na platformę okrągłej wieży. Z jednej i drugiej strony dwoje schodów o dziesięciu stopniach prowadzi ku posadzce wieży; trzecie schody, środkowe, prowadzą z wieży po przez drzwi spustowe do pięter dolnych. Przez otwór łuku widać czworoboczne bastyony gwelfów z strzelnicami i smolnicami. Wielka katapulta wyciąga swój kadłub olbrzymi, szeroko rozpościerając się wiązaniem z lin kręconych. Wielkie łuki dla rozmaitego gatunku grotów, pocisków, strzał, tarany, balisty łukowe i inne działa widać poustawiane na blankach wieży. Szczyt wieży Malatesta, najeżony machinami i rozmaitego gatunku bronią, przecina posępny widnokrąg i panuje nad miastem Rimino, z którego nie widać nic ponad blanki, w kształcie ogonów jaskółczych wieńczące najwyższą wieżę ghibellińską. — Po prawej stronie sali widać drzwi, po lewej wązkie okno, wychodzące na Adryatyk, opatrzone kratami.

SCENA PIERWSZA.

Widać strażnika wieży, dokładającego ognia pod dymiący kocioł. Przy murze poustawiane szeregiem węże i dmuchawy oraz groty i drzewce, przy-

gotowane dla masy zapalnej; pełno też naokoło gotowych już pocisków i materyałów ogniowych. Na wieży, w pobliżu tarana młody łucznik, na czatach.

STRAŻNIK. Czy pole gminne jeszcze wciąż jest wolne?

ŁUCZNIK. Tak wyświecone, jak ma tarcza.

STRAŻNIK. Dotąd
nikt się nie waży.

ŁUCZNIK. Dotychczas nie widać
ni cienia Omodea
czy Gambancerra.

STRAŻNIK. Jakby już pomarli
ci, którzy dzisiaj mają umrzeć.

ŁUCZNIK. Gdzież tam!
Gdyby tak wszyscy nie mieli pancerzy
ani szyszaków i gdyby nie były
pozapierane wszystkie drzwi na rygle,
słyszelibyście godne stukotanie
serc na ulicach Rimino. Ot, idzie
jakowyś osioł.

STRAŻNIK. Pewnikiem Montagna
de Parcitadi albo Ugolino
Cignatta.

ŁUCZNIK. Wierzaj, mości Berlingero,

z łukiem u nogi
każdy z nich czeka na hasło, ażeby
podejść pod blanki i pod kraty.

STRAZNIK. Jakie
hasło? A wszak-ci Parcitada
nie ma ze sobą swego archeologa.
Czeka na pomoc z Urbino.
Ale nim zdoła przybyć hrabia Gwido,
klnę się na święte ciało męczennika
Julianowe, gród spalimy cały.
Dość mamy ognia, by puścić połowę
Romagni z dymem. Gorąco tym razem
bierzem się wszyscy do dzieła.
Wszakże Kulawiec
omal nie spalił grzywy
swego wierzchowca: znak to, że powietrze
mamy salamandrowe.

ŁUCZNIK. Widać, że bardziej swąd mu się podoba,
niżeli pismo jego żony.
Ta białogłowa z Rawenny to więcej,
niżeli ogień, siarka i żywica.
Jej uśmiech mógłby snać podpalić miasto
wraz z przysiółkami i całym powiatem.

STRAZNIK. Rzadko się śmieje. Zawsze jak omglona,
zawsze w zamysłach. Snać, niema spokoju.
Widzę ją codzień wchodzącą na wieżę.

Mało rozmawia, na morze
tylko spogląda, a jeśli
ujrzy jakowy statek,
tak ci go śledzi oczami —
o, czarniejszemi od smoły,
póki nie zniknie,
jakby się jakichś spodziewała wieści
albo pragnęła popłynąć.
Od wieży do wieży
błądzi, od Mastry do Rubii,
od Gemmany do Tanaglii,
niby zbłąkana jaskółka. A czasem,
kiedy przystanie na ganku,
tak się obawiam, że ni ptak się zerwie
i rzuci na dół, na wieki!
Misericordia!

ŁUCZNIK. Juścić, kuternoga
dobry, gdy trzeba trapić Omodea,
rozbijać twierdzę, burzyć ostrokoły,
przebywać rzeki
i łupić ziemie przeróżne, lecz nigdy
chodzić około tej pięknej winnicy,
którą go Pan Bóg obdarował.

STRAŻNIK. Cicho!
Nie mów tak głośno! Tak się cicho skrada,
jak kot, i nikt go nie słyszy, gdy idzie.

Malatestino razem z nim to para
wielce dobrana: widzisz go przed sobą
nagle, znienacka, a nie wiesz, skąd przyszedł,
a zawsze
w przestrach cię wprawia, niby upiór.

ŁUCZNIK. Dzisiaj
dzień jakby stworzon do pracy.
Frauncymer cały się zamknął.

STRAŻNIK. Z nich jedna
nie zna obawy. Wciąż patrzy,
czy coś nowego nie zaszło na placu.

ŁUCZNIK *zmienia miejsca.* Idą braciszkowie
z klasztoru Sant' Agostino
z zażegnywaniem. Swąd jakowyś węszą
w świeżem powietrzu.

STRAŻNIK. Czy brama gattolska
wciąż jest zamknięta?

ŁUCZNIK. Zamknięta wciąż jeszcze.
Nasi z Verucchio z swymi proporcami
i swemi trąby chybać już na moście
Maońskim. Messer Paolo z piechotą
wkroczył już bramką morską.

STRAŻNIK. No, mikstura
w sam raz, gotowa, mieszam od południa,

mącę, dodaję. Wiadrami będziemy
lać ją na domy wyklęte. I na co
jeszcze czekamy? Czy na połączenie
Marsa z Wenerą? Astrolog, co przybył
do nas z Baldachu, nowym Balaamem
snać mi się wcale nie wydaje. Boże,
wspieraj twe dzieci. Spojrz, czy na dzwonnicy
świętej Kolumby nie stoi? Trzy razy
ma w dzwon uderzyć, skoro będzie gotów
jego prognostyk.

ŁUCZNIK. Widać wielką brodę.

STRAŻNIK. Wysmarowałbym smołą te pakuły
i puścił z procy. Mam go w podejrzeniu.
Był z Ezzelinem w Padwie i przeklętą
inną hołotą ghibellińską. Nie wiem,
jak messer Malatesta
może go trzymać przy sobie.

ŁUCZNIK. Gwido Bonatto z Forli to dopiero
był mi prawdziwy astrolog wojenny.
Widziałem-ci go w potrzebie walbońskiej
i wówczas jego prognostyk nie zawiódł.

STRAŻNIK. Dziś go przeklęty ma Feltrańczyk. Piorun
niechaj mu wyrwie oko razem z jego
astrolabium.

SCENA DRUGA.

FRANCZESKA zjawia się w bramie z prawej i podchodzi, wzdłuż ściany, ku pilastrowi, dźwigającemu łuk. Twarz ma zawiniętą w ciemną chustkę, związaną pod szyją i tworzącą rodzaj kaptura, okrywającego warkocze, na karku złączone w węzeł.

ŁUCZNIK. Kurzawa się wzbija
od strony Aguzano.

STRAŻNIK. Czy to nie jazda
hrabi Gwidona,
śpiesząca od Petramali?

ŁUCZNIK. Nie! to nie oni! Niech im Pan Bóg oczy
wydrze z przyłbicy i rzuci w kurzawę!

STRAŻNIK. Któż to być może?

FRANCZESKA. Berlingerio!

STRAŻNIK zrywając się. O, madonno Franczesko!

ŁUCZNIK umilkł i przestraszony oparł się o taran.

FRANCZESKA. Czy messer Giovanni
nie był dotychczas na Mastrze?

STRAŻNIK. Nie był madonno, czekamy go właśnie.

FRANCZESKA. Ani nikt inny?

STRAŻNIK. Owszem, był tu starszy
pan Malatesta. On sam przygotował
ten odwar w kotle, a ja od południa
stoję i mieszam warzechą.

FRANCZESKA podszedłszy bliżej. A zresztą
nie był nikt inny?

STRAŻNIK. Nie był nikt, madonno.

FRANCZESKA. A ty co robisz?

STRAŻNIK. Robię ognie greckie,
żagwie, żagiewki, rakiety, rakietki,
głownie, petardy i inne przemiłe
niespodzianeczki dla cnych Parcitadów.
Mamy nadzieję, że dziś się sprawimy
godnie z tą nędzną hołotą, że damy
walną zaliczkę na podróż do Piekła.
Tak!

FRANCZESKA przygląda się zdumiona zawartości kotła.
Ogień grecki! Któż mu ujdzie? Dotąd
nigdym ja tego nie widziała, nigdy!
Powiedz, czy prawda. że to najstraszniejsza
męczarnia w wojnie?

STRAŻNIK. O przenajstraszniejszy
to już nasz ogień! Wielka tajemnica —
według przepisu,

który otrzymał messer Malatesta
od Pisańczyka pewnego, od starca,
co ongi był z chrześciany
przy oblężeniu Damietty.

FRANCZESKA. Czy prawda,
że gore w morzu,
że gore w rzekach.
spala okręty,
twierdze i wieże,
dusi, zaraża,
wysusza nagle ludzką krew,
ciało i kości
obraca w popiół,
sprawia, że człowiek
wyje jak zwierzę,
że konie od niego
wpadają w obłęd
i że najśmielsi
jak głaz martwieją?
Prawda, że ściera
twarde opoki,
że żre żelazo,
że się przez tarcze
przegryza dyamentowe?

STRAŻNIK. Żre i pochłania
wszelakie żywe i martwe stworzenia.

Piaskiem-li można go zgasić
lub zalać octem.

FRANCZESKA. Lecz jak się z tym ogniem
obchodzić można bez szwanku dla siebie?

STRAŻNIK. Od Belzebuba mamy pozwolenie,
który jest księciem piekieł,
a jest po stronie Malatestów.

FRANCZESKA. A jak wyrzucacie?

STRAŻNIK. Z pomocą tub i dmuchawek
dalekonośnych, albo też w pakułach
umieszczamy go na końcu pocisku
i wypuszczamy z łuku.
To są, madonno, najlepsze kądziele —
kądziele gwelfów,
które bez szpulki przędą śmierć.

(Bierze jeden z gotowych pocisków i pokazuje Franczesce, która wziąwszy go do ręki, potrząsa nim w powietrzu.)

FRANCZESKA. O, proszę,
zapal mi jeden!

STRAŻNIK. Dotychczas
nie dano jeszcze hasła.

FRANCZESKA. Chcę, byś mi jeden zapalił.

STRAŻNIK. A kto go zgasi?

FRANCZESKA. Chcę zobaczyć płomień,
którego m dotąd nie widziała. Zapal!
Czy to jest prawda,
że przedziwnymi płonie kolorami,
jak nic innego w tej zmiennej naturze,
i że w nim takie barw jest połączenie,
iż go nie zniesie oko —
niewysłowiona różnorodność,
wspaniała mnogość promieni,
jaka-li żyje pośród błędnych planet,
w słojach czarnoksiężnika,
w wulkanach, pełnych metalu,
albo w snach ślepców! Czy to prawda? Powiedz!

STRAŻNIK. Prawda, madonno!
I pięknie jest i uciesznie
patrzeć, jak w nocy lecą te kądziele
ponad obozy cesarskiej hołoty.
Wie o tem mąż wasz, messer Giovanni,
i nieraz, bywa, tem się rozkoszuje.

FRANCZESKA. Zapal-że! Zapal, strażniku!
Chcę to nareszcie zobaczyć!

STRAŻNIK. Dotychczas
nie dano hasła i jest dzień.

FRANCZESKA. Ja-ć każę,
zapal strażniku! Aby dobrze widzieć,

zanurzę pocisk w mrok,
trzymać go będę w tym ciemnym otworze
popod schodami.

STRAŻNIK. Czy chce Wasza Miłość
spalić nam wieżę Mastrę
razem z wszystkimi łucznikami
i uratować Parcitadę?

(FRANCZESKA zanurza jeden z pocisków w kotle i potem zapala przy jednej z płonących głowni.)

FRANCZESKA. A ja zapalę!

(Nagły, różnobarwny płomień zaczyna trzeszczeć na końcu pocisku, który Franczeska trzyma, bez obawy, niby pochodnię, w ręku.)

O, przepiękny płomień!
Dzień przezwycięża! A jak on jest żywy,
jak drży potężnie! Drży, drży pocisk cały
i moja ręka drży i moje ramię
i moje serce!
Tak blizko go czuję,
jakbym go miała w dłoni!
Chcesz-li mnie spalić, ty cudny płomieniu?
Chcesz mnie zamienić w swą zdobycz? Zda mi się,
że oszaleję dla ciebie!

(Głos jej drży nakształt śpiewu. STRAŻNIK i ŁUCZNIK jak porażeni patrzą na płomień i na Franczeskę, niby na jakieś dzieło czarnoksięskie).

FRANCZESKA. Jak ryczy!

Ryczy, spragniony łupu,
spragniony lotu!
Chcę go wyrzucić w obłoki!
Napnij cięciwę!
Słońce umarło, a on jest dziecięciem
słońca, zrodzonym ze Śmierci!
Chcę go wyrzucić w obłoki!
Na co ty czekasz?
Jam nie szalona, ~~
biedny strażniku, który patrzysz na mnie
w tem osłupieniu!... Śmieje się.
Ale taki piękny,
taki cudowny ten płomień, że jestem
jakby pijana, że snać wszystka żyję
w nim, a on we mnie! Czy wiesz ty,
jak on jest piękny? Nie! ty nie wiesz! nie wiesz!
Oczy ci wyjadł ostry dym! A jeśli
skrzy się tak za dnia, jakże skrzyć się będzie
w nocy?

(Zbliża się do otworu, od którego schody prowadzą na dół i trzyma palący oszczep nad ciemnościami.)

O cudzie! o cudzie!

STRAŻNIK. Niechaj nas Pan Bóg uchowa, Madonno,
lecz Wasza Miłość
spali nam wieżę ~~ ~~
za pozwoleniem ~~ ~~ przepraszam. ~~ ~~

(Stara się rozmaite materyały, nagromadzone wokoło ognia, uchronić od zajęcia się i wybuchu.)

FRANCZESKA pochłonięta blaskiem. O cudzie!
Rozkoszy oczu! O żądzo jasności
i żądzo zniszczenia! Czyż w sercu
jakowejś góry leżały te zsiadłe
drogie kamienie, które znów roztapia
ten straszny płomień i znowu przemienia
na duchy ognia? O życie, tak drżące,
a niespodziane! Piękności zabójcza!
Leci ten pocisk śród nocy bezgwiezdnej,
pada w obozy, zbrojne chwyta męże,
otula sobą dźwięczące pancerze
przesuwa płytę za płytą,
wżera się w każdą żyłę,
rozkłada kości, szuka szpiku,
skręca ich, dusi, oślepia, —
ale nim jeszcze oślepły źrenice,
dusza wydaje ryki, zatopione
w tym strasznym blasku, który ją pochłania.

(Czujnie nadsłuchuje, przechylona nad otworem.)

Ktoś tutaj idzie po schodach. Kto idzie?

STRAŻNIK. Na każde piętro mamy po stu strzelców,
po stu łuczników ukrytych, a którym
nawet nie wolno oddychać. Tam w dole

stoją, jak strzały w sajdaku.
Może widzieli płomień.

FRANCZESKA. Nie! to jeden
podzwania zbroją. Któż to
idzie po schodach?

STRAZNIK. Na wszelki wypadek
raczcie, madonno, odsunąć ten pocisk
na bok; z pewnością to nie wróg nadchodzi —
twarz mu spalicie: być może, to messer
Giovanni.

FRANCZESKA. Któż to? Któż to jest?

GŁOS PAOLA. Paolo!

FRANCZESKA umilka, cofa pocisk, który wskutek nagłego ruchu wybucha płomieniem i oświeca hełm i kołnierz pancerny Paola Malatesty.

SCENA TRZECIA.

PAOLO wychyla się aż po pas z otworu schodów i zwraca ku bratowej, która cofnęła się ku ścianie; trzyma jeszcze w ręku żeleźce pocisku, pochylone ku ziemi, tak, że snać podpali sobie nogi. ŁUCZNIK odchodzi ku platformie.

STRAŻNIK. Dobrze się stało, żeście przyszli, dobrze,
messer Paolo!
Nie wiele brakło, byśmy się spalili
razem z tą wieżą: madonna

tak z greckim igra ogniem,
jak z pieskiem na linewce.

FRANCZESKA ogromnie pobladła, oparta o ścianę, śmieje się śmiechem bolesnym i wypuszcza pocisk z dłoni.

STRAŻNIK. Istny cud, że dotąd
nie wijemy się w piekielnych płomieniach.
O patrzcie...

STRAŻNIK kilku garściami piasku gasi ogień. PAOLO szybko przeskakuje ostatnie schody. Gdy stanął na platformie wieży, ŁUCZNIK wskazuje ręką w stronę miasta, gdzie rozpoczęła się utarczka.

ŁUCZNIK. Zamęt w dzielnicy San Cataldo, walka
rozpoczęła się przy moście Membruto
tam! ponad fosą patarską!
Przy Gualchierze biją się — patrzajcie —
tuż popod wieżą Morchetto,
koło Masdogni.

FRANCZESKA cofa się, postępuje kilka kroków pomiędzy bronią i rozmaitemi narzędziami, tamującemi przejście, wraca się ku drzwiom, któremi weszła i chowa się za pilaster, który ją zakrywa przed oczami Paola.

STRAŻNIK. My czekamy jeszcze
na hasło, messer Paolo.
Niedługo wieczór zapadnie. Co czynić?

PAOLO zdaje się nie słyszeć, jedną opanowany myślą i jednym lękiem. Zobaczywszy, że Franczeska znikła, opuszcza wieżę, zstępuje na dół bocznemi schodami, aby jej poszukać.

PAOLO. Franczesko!

FRANCZESKA. Hasło, Paolo! Wydajcie
hasło! Nie bójcie się o mnie, pozwólcie
zostać mi tutaj i słuchać
świstu cięciwy.
Nie mogę oddychać,
zamknięta w izbie, w gronie wystraszonych
mych towarzyszek, podczas kiedy w mieście
toczy się walka. Piękny hełm mi dajcie,
panie kuzynie!

PAOLO. Dam wam!

FRANCZESKA. Wróciliście
teraz z Ceseny?

PAOLO. Tak, dzisiaj — z Ceseny.

FRANCZESKA. Zabawiliście dość długo.

PAOLO. Czterdzieści
dni siedzieliśmy w obozie z Gwidonem
Montforckim. Miasto Cesenę
zdobywaliśmy i zamki.

FRANCZESKA. Niemałe
znać na was trudy, wychudliście nieco
i pobledliście nieco — tak się zdaje.

PAOLO. Jakowaś febra jesienna
zapanowała w okolicy Savia.

FRANCZESKA. A więc jesteście chory? Przeto drżycie?
A Orabile nie dała wam leku?

PAOLO. Febra się strawi sama w sobie. Nie chcę
żadnego leku. Ziół nie szukam żadnych,
aby wyzdrowieć, ma siostro.

FRANCZESKA. Miałam-ci ziele, co leczy,
miałam-ci ziele w ogrodzie ojcowskim,
w ogrodzie mego szlachetnego ojca. —
Niechaj go strzeże Bóg!
Miałam-ci ziele lecznicze w ogrodzie —
wyście pewnego dnia w ten ogród weszli,
odziani płaszczem, który w słodkim świecie
zowie się kłamstwem;
nadepnęliście na to ziele moje,
nadepnęliście, nieświadom, i zioło,
choć stopa wasza była lekka, zwiędło,
przestało rosnąć, mój panie kuzynie,
przestało rosnąć i umarło!

PAOLO. Jam go nie widział,
anim nie wiedział, gdzie jestem,
ani też kto mię przywiódł na tę drogę;
nie rzekłem słowa,

nie słyszałem słowa,
żadnegom progu nie przekroczył,
nie zmogłem żadnej przeszkody.
Ujrzałem-li różę,
którą mi wówczas podano, ach świeższą
od warg świeżej rany! I śpiewy
jakieś młodzieńcze słyszałem i straszne
jakieś pukanie do straszliwej bramy
i głos pełen gniewu,
was wzywający po imieniu!
To było wszystko! to wszystko!
I nie wróciłem dlatego,
że miałem wolę powrotu,
albowiem drogi śmierci
nie są mroczniejsze od tej mojej drogi —
tak, moja siostro! Niechaj Bóg nas wspiera.

FRANCZESKA. Me oczy
świty ujrzały poranne,
dające nam jutrznię,
tę karmicielkę niebieską,
co nas zbudziła, ażeby nas mlekiem
swojem nakarmić, kiedy sen ostatni
zbliżył się k'naszej łożnicy.
Z wstydem i lękiem
patrzały na nią me oczy,
niby na wodę nieczystą,
z urągowiska

nagle wylaną na lice,
zwrócone do góry,
pełne tęsknoty
za drogim napojem światłości.
Widziały to me oczy,
i widzieć to będą, dopóki
noc ich nie zamknie na wieki,
noc, nieznająca
świtu, mój bracie!

PAOLO. Ach! na mnie
niech wstyd ten spadnie i hańba.
Gdy ów zawitał poranek, nie spałem.
Precz uszedł już spokój
z duszy Paola Malatesty!
I wszystko już we mnie
było dla siebie wrogie od tej chwili,
gdyście stanęli swą stopą na progu,
z którego niema powrotu,
i gdy ja z świtą wszedłem weselną.
I gwałt stał się lekiem
na me nieszczęście owej strasznej nocy —
Z ręki mej zginął Tindar Omodei,
dom mu w perzynę-m obrócił,
na pastwę
mej krwawej świty
dałem jego mienie.

FRANCZESKA. Niech wam Bóg przebaczy
tę krew i to wszystko,
tylko nie łez tych, których nie płakałam,
tylko nie oczu, co owego ranka
zostały suche.
Jam nie płakała
i nigdy odtąd nie płaczę, mój bracie.
A owy napój,
podan mi przez was u brodu — pomnicie —
tej pięknej rzeki?
Z tem waszem sercem fałszywem,
szaleństwa pełnem i zdrady —
to był ostatni trunek, który zgasił
moje pragnienie i odtąd
nie było wody, mój panie,
któraby mogła zgasić me pragnienie.
I zabłysnęły wieżyce Rimini
i zabłysnęła brama galeańska,
i słońce zaszło za szczyty
i ku wieżycom zarżały rumaki
i nieme wasze oblicze zabłysło
między lancami pachołków.
Przekleństwo,
żeście mnie wówczas nie chcieli powierzyć
falom tej rzeki, coby mnie ze sobą
porwała k'morzu i słodko złożyła
gdzieś na wybrzeżu Rawenny; poznaną
byłby mnie może zaniósł kto do ojca,

do mego ojca dobrego, co nie chcąc
żadnej mi krzywdy wyrządzić, za żonę
oddał mnie temu, który mu się widział —
Niech Bóg go strzeże, tego ojca mego,
i niech mu daje coraz większe władztwo.

PAOLO. Tak-ci jest srogi, Franczesko, wasz wyrzut,
a taki słodki, że serce się kraje
i moja smutna rozpływa się dusza
w tym dziwnym dla mnie dźwięku waszej mowy.
Dusza się moja rozpływa
i wszelka odbiegła odemnie świadomość,
i nie wiem, jak ją napowrót przygarnąć.
W jakiż mam umrzeć sposób?

FRANCZESKA. Jako niewolnik, przykuty
do stawu łodzi, która zwie się „Rozpacz",
tak umierajcie!
A pamięć owego trunku,
który z rąk waszych wzięłam
u brodu tej pięknej rzeki,
zanim doszliśmy do murów
fałszu i zdrady,
niechaj was spali i strawi. Przez Boga,
przez najwyższego Boga
i przez świętego Jana,
lepiej ci było, mój bracie, zostawić
głowę, niż hańbić tak swą biedną duszę.

(Słychać bicie dzwonów u świętej Kolumby. Oboje budzą się z odrętwienia.)

A! gdzie jesteśmy? Któż woła? Paolo,
która godzina? Co robicie?

STRAŻNIK i ŁUCZNIK, zajęci naciąganiem proc i przygotowaniem płomiennych pocisków, porywają się na odgłos dzwonów.

STRAŻNIK. Hasło!
Hasło! dzwon świętej Kolumby!

ŁUCZNIK. Dać ognia!
Ognia! niech żyje Malatesta!

(Zapala jeden z pocisków i wypuszcza go w stronę miasta. Z otworu schodowego wypada z wrzaskiem tłum łuczników, zajmuje platformy wieży i zabiera się do broni i machin.)

ŁUCZNICY. Niech żyje messer Malatesta! Niechaj
żyje stronnictwo gwelfów!
Śmierć Parcitadzie oraz ghibellinom!

(Z murów pada na miasto grad pocisków, który zapłomienia duszne powietrze. PAOLO MALATESTA zdejmuje z głowy hełm i podaje go bratowej.)

PAOLO. Daję wam szyszak!

FRANCZESKA. Paolo!

(PAOLO wskakuje na wieżę. Głowa jego, ujęta w pukle włosów, panuje nad tłumem, rzucającym pociski. FRANCZESKA rzuca szyszak na ziemię i z krzykiem biegnie za Paolem. Świst cięciw i wrzask żołnierzy.)

PAOLO. Łuk mi podajcie! dajcie łuk!

FRANCZESKA. Paolo!

(Jeden z łuczników pada z przeszytą gardzielą.)

STRAŻNIK. Na Boga! precz stąd, madonno!
Tu zaczynają walić już na dobre!

(Kilku łuczników podnosi swe wielkie malowane pawęże i zagradza drogę Franczesce, pragnącej dotrzeć do Paola.)

ŁUCZNICY. Wieża Galassa odpowiada.
Od Masdogni
pędzą tu ludzie Cignatty!
— Niech żyje messer Malatesta!
Niech żyje stronnictwo gwelfów!
Verucchio! Verucchio!

(FRANCZESKA stara się przedrzeć przez zwał łuczników, zagradzających jej drogę.)

STRAŻNIK. Madonno! na Boga,
którego czcicie! Zastanowienia,
messer Paolo! Madonna Franczeska
jest bez osłony! Tutaj śmierć!

(PAOLO stoi z łukiem na murach i wystawion na pociski wroga, strzela bez upamiętania, jak szaleniec.)

FRANCZESKA. Paolo!

(PAOLO odwraca się na krzyk ten i widzi Franczeskę w ogniach pocisków. Bierze pawęż jednego z łuczników i osłania ją.)

PAOLO. Franczesko, zejdźcie! Cóż to za szaleństwo!

(Pcha ją ku wyjściu. FRANCZESKA patrzy mu z poza pawęży w jego piękne, zapalone oblicze.)

FRANCZESKA. Wy szalejecie! Wy!

PAOLO. A wszak mam umrzeć!

(Odciąga ją ku sklepieniu wieży, rzuca pawęż, pozostając tylko z łukiem w ręku.)

FRANCZESKA. Jeszcze nie pora! Nie! jeszcze nie pora!

ŁUCZNICY. Malatesta! Malatesta!
Ludzie Cignatty
stoją przy wieży Rubbii. —
Tu, na tę stronę!
Tu, na tę stronę!

(Schodzą bocznemi schodami z lewej i opierają łuki o strzelnice muru. Dzwony biją na alarm. Słychać w oddali dźwięk rogów.)

Verucchio! Śmierć Parcitadom!
Śmierć ghibellinom!
Niech żyje Malatesta!
Niech żyją gwelfowie!

PAOLO. Teraz jest pora, abyście widzieli,
jak ja umieram, abyście mi głowę
podnieśli z ziemi rękoma swojemi.
Cóż ja innego mógłbym mieć już od was?
Nie chcę umierać
jako niewolnik u wioseł galery.

FRANCZESKA. Trzeba, Paolo, zahartować serce
naprzeciw losom
i stać milczący,
jako owego dnia, śród strasznej świty,
jako owego dnia, pośród oszczepów
najemnej ciżby! Wszakże nie chcę hańbić
i mojej duszy dla was!

PAOLO. Tak! igrać z losem
pragnie fałszywe me serce,
pełne szaleństwa i zdrady.

(Nagłym ruchem przyciąga Franczeskę ku zakratowanemu oknu i podaje linę od drzwi zapadnych.)

Podnieście!
Dziecko podniesie,
niewinna ręka podniesie!

(PAOLO porywa pęk strzał i rzuca je pod nogi Franczeski. Potem naciąga łuk.)

FRANCZESKA. Szaleńcze!
Szaleńcze! Czy myślisz
w ten sposób kusić mą duszę?
Gotowa jestem do wszelkiej śmiertelnej
gry i nie przegram,
choć wszystko przegrane!
Ty zasię stoisz u straszliwych granic —
niech Bóg cię wspiera!
Ja ci otworzę wyjście!

Teraz uważaj! celuj! celuj dobrze,
abyś nie chybił, bo ja śmiać się będę!

(Podnosi w górę drzwi zapadne, a przez otwór widać ogrom morza w blaskach zachodzącego słońca.)

Morze! Morze!

(PAOLO chwyta łuk, celuje i strzela.)

PAOLO. Dobry strzał! Przeszyłem
stalowy kołnierz i szyję.
Wieść on zaniesie o mnie
piekłu!

(FRANCZESKA spuszcza drzwi zapadne; słychać, jak pociski wroga uderzają o kratę. PAOLO składa broń.)

ŁUCZNICY na wieży. Zwycięstwo! Zwycięstwo!
Śmierć Parcitadzie!
Niech żyje messer Malatesta!
Niech żyje partya gwelfów!
Zwycięstwo!
Ghibellinowie rozbici na moście
fossy patarskiej. Gualchiera
już oczyszczona z wrogów!
Messer Giovanni w galopie,
z laurami, przy bramie
Gattolo. Ludzie Cignatty
pierzchli! Uważać,
aby w zamęcie

nie trafić swoich!
Zwycięstwo Malateście!

FRANCZESKA w wielkiem wzburzeniu ducha.
Ach, widzę morze,
morze wieczyste,
świadectwo Pana!
A na tem morzu żagiel,
szczęśnie kierowan przez Pana.
Paolo, bracie mój w Bogu,
uczynię ślub,
aby się Pan ulitował
nad tobą.

PAOLO. Podnieście kratę!

FRANCZESKA. I już jej nie spuszczę.
Niech się ta próba zakończy
wyrokiem bożym,
spełnionym z pomocą pocisku!
Człowiek jest kłamstwem, a zaś Bóg jest prawdą.
Bracie mój w Panu, słuchaj: zmora zdrady,
którą masz na duszy,
niech przebaczona będzie ci przez miłość,
a wyrok boży
niech się objawi
z pomocą strzały,
która cię nie tknie —
albo też raczej

oddaj swe życie
i ja swe oddam.

(Z napiętą liną w ręku klęka do modlitwy, z źrenicami wlepionemi nieruchomie w odsłoniętą głowę Paola. Przez podniesioną kratę widać jaśniejące morze. PAOLO nakłada pocisk na cięciwę i strzela bezustanku. Od czasu do czasu pociski ghibellinów wpadają przez okno, odbijają się o mur i nie wyrządzając szkody padają na posadzkę. Pod wpływem bolesnej męki kurczy się twarz modlącej. Wymawiane wyrazy zaledwie poruszają wybladłemi jej wargami.)

Ojcze nasz,
któryś jest w niebie,
święć się imię Twoje,
przyjdź królestwo Twoje,
bądź wola Twoja,
jak w niebie, tak i na ziemi.
Chleba naszego powszedniego
daj nam dzisiaj — —

(PAOLO, chybiwszy kilkakrotnie, z wielkim wysiłkiem woli napina cięciwę, jak gdyby pragnął dać strzał mistrzowski. Świst cięciwy. Słychać krzyk z pośród zastępów nieprzyjacielskich.)

PAOLO z dziką radością. A! Ugolino! w złe-m cię trafił miejsce!

FRANCZESKA. — i odpuść nam nasze winy,
jako i my odpuszczamy
naszym winowajcom,
i nie wódź nas
na pokuszenie,

ale nas zbaw ode złego.
Amen.

(Na wieży krzyk i objawy radości łuczników; kilku z nich wynosi na rękach zabitych i rannych.)

ŁUCZNICY. Zwycięstwo przy Malateście!
Śmierć Parcitadom! Śmierć ghibellinom!
Niech żyje!
Ludzie Montagni pierzchają
przez bramę San Catalda!
Pożar się wszczyna! Jedna z naszych beczek
padła na dom Accarisia!
Pożar się wszczyna!... Zwycięstwo!
Malatesta! Malatesta!
A! messer Ugolino
Cignatta upada z konia!
Zabit! zabit!
Strzała przeszyła mu gardziel.
Kto go położył? Bartolo Gambitta?
Kto go położył? To ktoś z naszych ludzi!
Sto lir raweńskich wart ten strzał — wart tysiąc
złotych!... Zwycięstwo!

(Strzała musnęła głowę Malatesty i przeszła mu wskróś włosów. FRANCZESKA wypuszcza z rąk linę, zrywa się na równe nogi, przybiega do Paola, obejmuje mu głowę, myśląc, że trafiony, i szuka rany. Przeraża się jeszcze bardziej, widząc śmiertelną bladość, którą, podczas tego, powlekła się twarz Paola. Strzała pada na ziemię.)

FRANCZESKA. Paolo! Paolo!

(Przygląda się swym rękom, czy nie splamiła ich krew. Ręce są białe. Szuka ponownie, ciężko oddychając.

Co się stało, na Boga, Paolo?
Krew ci nie cieknie, niema na twej głowie
krwi ani śladu, a, zda się, umierasz.

PAOLO głosem stłumionym. Nie, nie umieram, Franczesko!
Żelazo mnie nie tknęło!

FRANCZESKA. Uratowan i oczyszczon!
Oczyszczon jesteś z fałszu!
Podziękuj Bogu! Bracie,
klęknij!

PAOLO. Lecz wasze dotknęły mnie ręce
i z karbów wyszła dusza mego serca,
i chłód przenika wszystkie moje żyły,
odbiegła mnie siła życia
i cóż mi z niego zostaje?

FRANCZESKA. Na głowę
twoją, Paolo! klęknij!

PAOLO. Niewymowna
zdjęła mnie trwoga i wstręt, stokroć większy
od trwogi!

FRANCZESKA. Klęknij!

PAOLO. Kiedy już tak żyłem

tą mocą szaloną,
walcząc sam na sam, na wyniosłej wieży
waszej modlitwy, w płomiennej
samotni waszej źrenicy ~ ~ ~

FRANCZESKA. Uklęknij!
Dzięki złóż Bogu!
Uklęknij i sam się już nie gub!

PAOLO. Walczący samotnie
i mordujący ludzi ~ ~

FRANCZESKA. Już przebaczono ci w niebie. Oczyszczon jesteś, a sam się chcesz gubić.

PAOLO. W mem rozszalałem wnętrzu
zwarła się razem wszystka ma odwaga
i wszystka zamknięta
mojej przeklętej miłości potęga.

FRANCZESKA. Zgubiony! zgubiony!
Mów, że szalejesz! Na twą głowę, mów-że,
mów, że szalejesz! że twa biedna dusza
nie słyszy wyrazów twych ust!
Na oną strzałę,
która się ciebie nie imie,
na śmierć, co się ciebie
dotknęła palcem,
lecz nie zabrała cię, mów-że,

mów, że już nigdy podobne wyrazy
z ust twych nie wyjdą!

ŁUCZNICY. Niech żyje
messer Giovanni Malatesta!

SCENA CZWARTA.

W otworze wieży Mastry zjawia się KULAWIEC, cały w zbroi, z sardyńskim oszczepem w ręku. Skacze po schodach, kulejąc, a stanąwszy na blankach wieży, potrząsa strasznym dzirytem, podczas gdy głos jego przerywa wrzask łuczników.

GIANCIOTTO. Krocset! plemię tchórzów!
Łotry, wisielcy!
Ja was wszystkich razem
rzucę do Ausy, jak ścierwo!

FRANCZESKA. Brat twój.

PAOLO rzuca łuk.

GIANCIOTTO. Sprawniejsi jesteście
w czynieniu wrzawy,
niż w garbowaniu ghibellińskiej skóry.
Może sądzicie, że wyście cośkolwiek
tutaj zrobili — z łukami bez cięciw?
Gdybym ja nie był przygnał z moją jazdą,
byłby Cignatta obie wyparł bramy.
Niech Bóg wam łokcie potrzaska, wy tchórze!

ŁUCZNICY. Wyszły nam strzały, a przytem astrolog
zwlekał z podaniem hasła. Wszak-ci zmilkła
wieża Galassa. Przez nas na Masdogni
leży ich kupa.

GIANCIOTTO. Krocset! mało ognia!
Nie widzę domów płonących! Źleście
rzucali ognie!

ŁUCZNICY. Wszakże Occarisia
dom się już pali! — A zacny Cignatta —
któż się z nim sprawił? Toć to jeden z naszych
zatkał mu gardziel.

GIANCIOTTO. Któż to stał przy oknie
zakratowanem?

ŁUCZNICY. Czyż na jego głowę
nie wyznaczono nagrody? — Nasz oddział
zarobił swe tysiąc złotych.

GIANCIOTTO. Mówcie,
kto stał przy oknie?

ŁUCZNICY. Walczyliśmy, panie,
z pustym żołądkiem — giniemy z pragnienia —
i z głodu! Żyj nam messer Giovanni
nigdy niekontent!

(PAOLO bierze swój hełm i nakrywszy głowę, idzie na wieżę. FRANCZESKA podchodzi ku drzwiom, któremi weszła, i otworzywszy, woła:)

FRANCZESKA. Smaragdi! Smaragdi!

GIANCIOTTO do łuczników.
Zamknijcie gęby! Niech wam język uschnie!
Nie lubię pustej paplaniny. Moim
ten, który działa, a milczy. Tej chwili
potrzeba rzucić jedną z wielkich beczek;
ja sam pokażę kierunek, w imieniu
wielkomożnego mego ojca
trzeba ją posłać Parcytadzie
już na ostatnie pożegnanie!
Barlingerio, gdzie jest
brat mój, Paolo?

(NIEWOLNICA zjawia się we drzwiach, potem, wysłuchawszy jakiegoś rozkazu pani, znika. FRANCZESKA pozostaje w progu.)

PAOLO. Jestem, mój bracie Giovanni. Jać-to
stałem przy oknie kratowanem, jam też
przeszył tę gardziel wrażą,
co zbyt szeroko rozwarła swą gębę,
by ci urągać.
(Szmer śród łuczników.)

GIANCIOTTO. Dzięki ci, bracie!
(Zwraca się do strzelców.)
Taki strzał mógł tylko
pochodzić z ręki Malatesty —
słyszycie, samochwalcy?

(NIEWOLNICA zjawia się z dzbanem i puharem. FRANCZESKA wraca ku otworowi schodów, aby się pokazać. GIANCIOTTO schodzi naprzeciw brata.)

GIANCIOTTO. Paolo! przynoszę-ć
dobre nowiny.

(Spostzega żonę. Głos jego przybiera nagle łagodniejszy odcień.)

Franczeska!

FRANCZESKA. Witam was, panie, który nam przynosisz zwycięstwo!

(Kulawiec podchodzi ku niej i bierze ją w objęcia.)

GIANCIOTTO. Droga małżonko, a skądże
widzę was, tutaj, w tem miejscu?

FRANCZESKA broniąc się uściskom. Na zbroi
dużo krwi macie.

GIANCIOTTO. Żalim was powalał?

FRANCZESKA. I cały kurzem okryty.

GIANCIOTTO. Małżonko,
kurz moją strawą!

FRANCZESKA. A rany
żali nie macie jakowej?

GIANCIOTTO. Nie jestem
ranny.

FRANCZESKA. Z pewnością czujecie pragnienie.

GIANCIOTTO. O tak, ogromne.

FRANCZESKA. Smaragdi, daj wino.

(NIEWOLNICA zbliża się z dzbankiem i puharem.)

GIANCIOTTO z radosnem zdumieniem.
Jakto? małżonko! A więc myśleliście
o mojem przyjściu? O droga ma żono.
Pewnieście swojej kazali służebnej
zważać, by dała wiadomość, że idę?

(FRANCZESKA nalewa puhar i podaje go małżonkowi. PAOLO stoi milczący u wejścia i czuwa nad ludźmi, zajętymi przy beczce z materyałami palnymi.)

FRANCZESKA. Pijcie, to wino z Chios.

GIANCIOTTO. Pijcie pierwsza,
jeżeli łaska — jeden haust.

FRANCZESKA. To wino
nie jest zatrute, mój mężu.

GIANCIOTTO. Śmiejcie się!
Nie podejrzliwość jest tu w grze — przenigdy!
O waszą łaskę tu idzie, o łaskę
waszą, Franczesko,
żono ma wierna.

Zdrada mi od was nie grozi; mój rumak
dotąd podemną
jeszcze się nigdy nie potknął. Małżonko,
pijcie — choć jeden haust!

(FRANCZESKA dotyka wargami puharu.)

GIANCIOTTO. Jakaż to rozkosz
ujrzeć znów wasze oblicze, po bitwie,
wziąć z waszej ręki puhar tego wina,
mocnego wina, i pić jednym haustem —

(Wychyla puhar.)

O, tak! — Raduje się serce!
A cóż Paolo?
Czemu do niego nie rzeknięcie słowa?
Wrócił z Ceseny, a wy go
nie przywitacie, mego rodzonego?
Chodź tu, Paolo! Czy nie masz pragnienia?
Rzuć grecki ogień dla greckiego wina.
Potem spalimy wszystkich Parcitadów.
Nalejcie, żono, jeszcze jedną czarę —
wypijcie, proszę, na cześć mego brata,
jeszcze haust jeden i raczcie powitać
dzielnego strzelca.

FRANCZESKA. Już go powitałam.

GIANCIOTTO. Kiedy?

FRANCZESKA. Gdy strzelał.

PAOLO. Wiesz Giovanni,
przyszedłszy na wieżę,
już ją zastałem,
jak wraz z Berlingerim
strzał próbowała ognistych.

GIANCIOTTO. Żali to prawda?

PAOLO. Igrała
z strzałą płomienną, aż strażnik
narobił wrzasków, że podpali wieżę.
A zasię ona się śmiała! Słyszałem
śmiech jej, gdy ogień igrał u jej stóp,
jak hart na smyczy.

GIANCIOTTO. Żali to prawda, Franczesko?

FRANCZESKA. Dłużyło mi się w komnacie
pośród lamentów moich towarzyszek.
I wierzaj, panie, stokroć mi jest lepiej
patrzeć na bitwę otwartą,
niźli w zamknięciu pocieszać te płaczki.

GIANCIOTTO. Córko Gwidona, dobrze cię naznaczył
twój rodzic, dobrze! Oby Bóg cię dla mnie
uczynił płodną i obyś lwie plemię
dała mężowi.

(FRANCZESKA marszczy brwi.)

GIANCIOTTO. Tyś jeszcze nie pił, Paolo!
Pij — coś pobladłeś. O ma wojowniczko,
pełny mu nalej puhar, niech wypije!
Przedziwny uczynił strzał.

PAOLO. Wiesz, Giovanni, podczas gdym ja strzelał,
ona trzymała kratę! Ona! W ręku
silnie trzymała linę drzwi zwodzonych,
jako giermkowie przy rycerzach. Nie drżał
puls jej i oczy jej nie drgnęły.

GIANCIOTTO. Hejże!
Pójdziemy razem zdobywać zamczyska,
ty moja żono. Szyszak dam ci złoty,
i ty, dosiadłszy rumaka,
pospieszysz z lancą i mieczem,
jak owa dzielna grafini Aldruda,
ta z Bertinoro, kiedy w bój ruszała
wraz z Marchesellą przeciw kanclerzowi
z Magonry. Droga małżonko,
już mi bez ciebie czas się nazbyt dłuży.
W tej ciemnej wstędze naokoło skroni
i popod szyją wyglądasz, jak gdybyś
żelazne miała podgardle. A jaki
wdzięk w twej postaci! Nieprawda, Paolo?
Aleś ty nie pił. Pijże, jesteś blady.
Zbyt to cię, widać, utrudziło. Dzisiaj
spać nie będziemy w swoich łóżkach. Proszę,
nalejcie wina swojemu szwagrowi.

FRANCZESKA. Owszem, nalewam.

GIANCIOTTO. Tak jakby była noc już, przelewacie...

FRANCZESKA. Pijcie, mój szwagrze! Pijcie-że z puhara,
z którego napił się wasz brat. I niech wam
Bóg powodzenia nie skąpi — wam obu,
a i mnie również!

(PAOLO pije, patrząc Franczesce w oczy.)

GIANCIOTTO. Tak, powodzenia, Paolo!
Zacząłem mówić, ale nie skończyłem:
Dobrą ci niosę nowinę — posłuchaj.
Oto w godzinie zwycięstwa
nasz wielkoduszny ojciec przyjął w domu
posłów florenckich z wieścią,
że cię wybrano naczelnikiem ludu
i gminy miasta Florencyi.

PAOLO. Florenckich
posłów!

GIANCIOTTO. Tak bracie! Czy to martwi ciebie?

PAOLO. O nie, pojadę.

(FRANCZESKA kryje twarz w mroku i przechadza się po wieży. NIEWOLNICA cofa się na stronę i stoi bez ruchu.)

GIANCIOTTO. W trzech dniach musisz jechać.
będziesz miał czasu dosyć, by pospieszyć

do Ghiaggiolo, do twej Orabile,
przyzwyczajonej snać już do wdowieństwa.
A wiedz, że jedziesz do miasta swywolnych
biesiad, do miasta, gdzie rządzi gromada
„Braci wesołych", gdzie pełno bogatych
kupców, trefnisiów i giętkich dworaków,
gdzie biesiadują rankiem i wieczorem,
gdzie lubią tańczyć i śpiewać, — dowoli
tam się zabawisz.

(Posępnieje i mówi z goryczą:)

My za to będziemy
zastawiać sidła na wilki i rzezać
marne jagnięta, żelazem
uderzać będziem o żelazo
dla ucieszenia uszu,
stalić będziemy pociski, topory,
lance sardyńskie z rana do wieczora.
A potem czekać będziem, czy przy szturmie
nie spadnie znowu głaz i nie roztrzaska
drugiego jeszcze kolana. I potem
Janko Kulawiec, Janko Kuternoga
każe się sznurem przywiązać do grzbietu
rozszalałego wierzchowca i pomknie
na łeb na szyję do Piekieł.

(FRANCZESKA śród wielkich udręczeń przechadza się w mroku. Przez otwór wieży widać niebo, zachodnimi zlane płomieniami.)

PAOLO. Giovanni,
gniewasz się na mnie?

GIANCIOTTO. Nie! Czyś nie wyrwał
języka temu, który mi urągał?
„Hejże na Kulawca
i jego piękną małżonkę!“
Tak szydził Ugolino,
z ogromnym krzykiem najeżdżając na mnie.
Czyż krzyk ten jego dotarł aż do kraty?
Jam się z nim zetknął oko w oko,
strzemię o strzemię,
kiedy twój pocisk
przeszył mu gębę
na wskróś, aż na wierzch wyszedł potylicą.
A mogłeś chybić!
Czułem, jak pióra twojego pocisku
twarz mi owiały. Mógłeś chybić, bracie.

PAOLO. A żem nie chybił, cóż ty o tem myślisz?

GIANCIOTTO kładąc mu rękę na ramieniu.
Widać, że wszelkie miłujesz ryzyka.
Ale w Florencyi bądź ostrożny. Wielki
bierzesz na siebie obowiązek; ostry
i wielce szybki miewaj wzrok, lecz rękę
zawsze ostrożną.

PAOLO. Tak radzący, bracie,

żali nie lepiej będzie, gdy się zrzeknę
tego urzędu? Wszak-ci całej naszej
potrzeba siły w ojczyźnie!
Rok ten dla nas, gwelfów,
niezbyt szczęśliwie się składa po klęsce
Giana z Appii i po sycylijskim
buncie przeciwko Andagaweńczykom.

GIANCIOTTO. Trzeba to przyjąć bez zwłoki. Obrońcą
spokoju będziesz tam, gdzie ongi
nasz wielkoduszny ojciec namiestniczył
w imieniu króla Karola, w szczęśliwem,
bogatem mieście gwelfickiem. W ten sposób
i z tamtej strony granicy Romagni
brzmieć i rozszerzać się będzie
głośne nazwisko Malatestów; każdy
z nas niechaj spieszy za swoją wschodzącą
gwiazdą. Ja pójdę swą drogą, z tym mieczem,
który ma oczy i widzi.
Jeszcze się koń mój
dotąd nie potknął podemną.

(Podczas jego słów wnoszą z pochodniami rannego Malatestinę, który zdaje się jakby już był bez życia. Zmrok czyni się coraz gęstszy.)

FRANCZESKA. Nieszczęście! Nieszczęście!
Czy nie widzicie? Ach! czy nie widzicie
Malatestiny? Wnoszą go na rękach
zbrojni rycerze — wnoszą z pochodniami!
Malatestinę zabito dla ojca!

SCENA TRZECIA.

(FRANCZESKA spieszy naprzeciw grona zbrojnych, wchodzących jednemi z bocznych schodów i mijających łuczników, którzy ustępują w milczeniu. Przybiegają GIANCIOTTO i PAOLO. ODDO delle CAMINATE i FOSCOLO d'OLNANO dźwigają ciężar zbroczonego krwią młodzieńca. Towarzyszy im czterech łuczników z wielkimi sajdakami i pochodniami.)

FRANCZESKA nachyla się nad Malatestiną.

Malatestino! O Boże!
Wybite ma oko,
czarną zalane krwią! Jak go zabili?
Ojciec wie o tem? Widział go?

(GIANCIOTTO dotyka się ciała młodzieńca i słucha, czy serce mu bije.)

GIANCIOTTO. Franczeska!
Nie, nie, nie umarł. Oddycha
i serce jeszcze mu bije. Widzicie?
Przyjdzie do siebie. Ogłuszył go tylko
cios, ale przyjdzie do siebie.
Życie zeń jeszcze nie uciekło. Dobre,
dobre ma zęby, aby je zatrzymać.
Otuchy! otuchy! Połóżcie go tutaj,
na pęku sznurów.

(Podczas gdy kładą Malatestinę, młodzieniec zaczyna przychodzić do siebie.)

Oddo, cóż to było?

ODDO. Dostał kamieniem, zdobywając wieżę
Galassa.

FOSCOLO. Wziął do niewoli sam jeden
Montagnę Parcitadę
i skrępowawszy rzemieńcem od miecza,
zawiódł go panu Malateście
i wrócił zdobywać wieżę.

ODDO. W hełmie — z otwartą przyłbicą — ot, wiecie
zbyt lekkomyślnie; znacie zapaleńca.

PAOLO. Wściekły był przytem, że ojciec jegomość
nie chciał pozwolić, by poderżnął gardło
swemu jeńcowi.

(FRANCZESKA nalewa młodzieńcowi kilka kropel wina. PAOLO chciwym wzrokiem śledzi jej ruchy.)

GIANCIOTTO ogląda ranę. Kamień wyrzucon ręką, a nie z procy.
E, to drobnostka.
Aby takiego zdmuchnąć,
choć taki suchy, katapulty trzeba!
Serce, jak pancerz, i wyschła wątroba!
Bóg go naznaczył, tak jak mnie naznaczył
i od tej bitwy
będzie miał z blizny, tak jak ja, przezwisko.

(Całuje go w czoło.)

Malatestino!

(Młodzieniec wstrząsa sobą i nabiera tchu.)

Pij, Malatestino!

(MALATESTINO łyka kilka kropel wina, które Franczeska wlała mu do

ust. Potem potrząsa głową i uczuwszy ból, usiłuje do rannego lewego oka zbliżyć rękę, zamkniętą w zbrojną rękawicę. FRANCZESKA powstrzymuje go.)

MALATESTINO jak człowiek nagle przebudzony, gwałtownie.
Zemknie! on zemknie! Więzienie dla niego
nie jest bezpieczne! Mówię wam, że zemknie!
Pozwólcie, ojcze, poderżnąć mu gardło!
Ja go pojmałem! Pozwólcie go zabić,
drogi mój ojcze! Mówię wam, że zemknie.
To chytry człowiek! Dajcie młotkiem w głowę,
aż się trzy razy wywróci!

FRANCZESKA. Co widzisz?
Malatestino, przestań-że majaczyć!
Malatestino, co widzisz?

GIANCIOTTO. Majaczy
wciąż o Montagni.
Malatestino, czy mnie nie poznajesz?
Jesteś na wieży Mastra.
Montagna w godnych jest szponach. Bądź pewien,
że nie ucieknie.

MALATESTINO. Gdziem ja, Giovanni?
To wy, bratowo!

(Ponownie podnosi rękę ku rannemu oku.)

Co ja mam w oku?

GIANCIOTTO. Wlepili ci, bracie,

porządny kawał kamienia. Czy wielki
czujesz ból? powiedz.

MALATESTINO. O nie! ghibellińscy
hołysze bolu nie sprawią.
Precz! precz! Szkoda czasu!
Z starego płótna przygotujcie włókna,
przewiążcie mi oko,
dajcie się napić,
potem — na koń! na koń!

(FRANCZESKA zdejmuje chustkę, którą owinięte ma policzki i szyję.)

GIANCIOTTO. Czy widzisz?

MALATESTINO. Jedno mi starczy.

GIANCIOTTO. Spróbujmy,
czy lewe oko stracone.

(Bierze pochodnię z ręki jednego z łuczników.)

Zamknij-że prawe. Franczesko,
przymknijcie oko mu palcem.
On w rękawicy.

FRANCZESKA przymyka palcem powiekę młodzieńca.

GIANCIOTTO zbliża mu pochodnię do ócz.
Zważaj!
Widzisz pochodnię?

MALATESTINO. Nie.

GIANCIOTTO. Widzisz światło?

MALATESTINO. Nie! Nie!

(Chwyta rękę Franczeski i odsuwa ją od siebie.)

Lecz widzę czysto jednem.

ŁUCZNICY podnieceni męstwem młodzieńca. Messer
Malatestino Malatesta niechaj
żyje!

MALATESTINO. Na koń! na koń!
Dzień ten, Giovanni, jest naszym, lecz jeszcze
żyje dotychczas stary Parcitada,
czeka posiłków. Damy-ż się tak zwodzić?
Oddo! Fascolo! Czeka jeszcze na nas
kąsek najlepszy.

GIANCIOTTO zwraca się ku łucznikom. Dawać tutaj beczki!
Wszystko gotowe?

(Zwraca się ku wieży i pilnuje sprawiających machiny strzelnicze.)

ODDO. Padniecie w pół drogi.

FRANCZESKA. Malatestino, nie idź w bój! pozostań,
ja ci obmyję, przyłożę-ć lekarstwo.
Smaragdi! biegnij i przygotuj wodę
i zrób opaskę — niech się tutaj zjawi
mistrz Almodoro.

MALATESTINO. Nie, moja bratowo!
Przewiążcie mi oko
i puśćcie! puśćcie! Potem do waszego
wrócę lekarza. Każcie mu zaczekać.
Nie czuję żadnego bolu!
Proszę — przewiążcie mi oko tą chustką,
którą trzymacie w ręku — tą!

FRANCZESKA. Przewiążę,
Bóg wie, czy dobrze. Dobrze to nie będzie.

(Przewiązuje mu oko chustką. Malatestino spostrzega, że Paolo nie odwraca oczu od Franczeski.)

FRANCZESKA. Dobrze nie będzie.

MALATESTINO. Wybrano cię, bracie,
florentyńskiego naczelnikiem ludu.
Na własne oczy widziałem gwelfickich
posłów „Czerwonej lilii" —
byli u ojca właśnie, gdym do niego
przyszedł z pojmanym Montagną.

(Dzwony biją na alarm. Słychać dźwięk rogów oraz gardłowe głosy ludzi, towarzyszące pchaniu beczek z płonącym ogniem na katapulty. Ponad basztami coraz to większa rozlewa się łuna.)

MALATESTINO. W nadmorskiej
zamknął go wieży. Słyszysz? Lecz on zemknie.
Błagałem ojca na klęczkach,
by mi pozwolił z nim skończyć.

Widziałem posłów uśmiechy i przez nich
ojciec odmówił.
Wspaniałomyślnym chciał się im okazać.
Ale Montagna nie powinien przeżyć
dzisiejszej nocy. Chcesz-li mi dopomódz?
Chodźmy do kaźni! Gotowaś, bratowo?
Tylko nie drżyjcie!

FRANCZESKA przewiązawszy oko. Tak! tak! Ale dobrze
pewnie nie będzie. Skronie ci się palą,
jeszcześ w gorączce! Nie, Malatestino,
pozostań! nie idź! Słuchaj mnie! pozostań!
Zostań! Na Boga!

GIANCIOTTO na wieży. Puścić już!

(Słychać trzask katapulty, wyrzucającej beczkę, napełnioną płonącym płynem.)

ŁUCZNICY. Zwycięstwo
dla Malatesty!
Niech żyją gwelfy! Śmierć, śmierć Parcytadzie
i ghibellinom!

MALATESTINO zbiegając. Na koń! Na koń!

(ODDO, FOSCOLO i ŁUCZNICY z pochodniami biegną za nim. Izba się zaciemnia. Odblask ognia rumieni mrok, w którym PAOLO i FRANCZESKA pozostali sami.)

PAOLO. Zegnaj, Franczesko!

(Zbliża się ku niej, FRANCZESKA cofa się z przerażeniem.)

GIANCIOTTO na wieży. Paolo! Paolo!

FRANCZESKA. Żegnaj mi, bracie!

(PAOLO zwraca się ku wieży, gdzie rozpoczęto promienne rzucać pociski.)

(FRANCZESKA, pozostawszy sama, żegna się, uklękłszy, potem rzuca się na ziemię. W głębi, gwałtowniejszy słup światła rozjaśnia niebiosa.)

ŁUCZNICY. Dać ognia! dać ognia!
Śmierć Parcitadom! Śmierć Ghibellinom!
Górą gwelfowie! górą Malatesta!

(Płomienne pociski padają z bastyonów. Dzwony biją do szturmu. Dźwięk rogów przeszywa zamęt na ulicach płonącego i krwią zlanego miasta.)

ZASŁONA.

AKT TRZECI

AKT TRZECI.

Widać piękną komnatę, podzieloną na pola, zapełnione scenami z romansu o Trístanie, oraz malowidłami ptaków, kwiatów i owoców. Pod sufitem naokoło ścian fryz z festonów, śród nich napis z kanconetty miłosnej:

Melglio m'è dormire gaudendo
C'avere penzieri veghiando.

Po prawej, w rogu, łóżko z bogatemi kotarami; po lewej wyjście z ciężką portyerą; w głębi okno, wychodzące na Adryatyk, w oknie doniczka z zielem wasilkowem. W stronie wyjścia, dwa łokcie ponad posadzką chór dla muzykantów z pięknie wyżłobionymi otworami. Przy oknie pulpit, na nim otwarta księga, zawierająca historyę o Lancelocie z Jeziora, o pięknych, ilustrowanych stronicach z pergaminu, oprawna w morową okładkę z czerwonego aksamitu. — Obok widać łoże, coś w rodzaju fotelu bez oparcia z tyłu i poręczy, na niem pełno poduszek aksamitowych; łoże tak jest ustawione, że leżąc na niem, widać całe wybrzeże Rimino.

W kącie małe, przenośne organki z klawiszami, piszczałkami, rejestrami, miechem, pięknej roboty; obok lutnia i skrzypce. Na stoliku małe, ręczne srebrne zwierciadło śród flaszeczek z pachnidłami, szklanek, torebek, pasków i innych przyborów. Wielkie kandelabry żelazne stoją po obu stronach łoża i pod chórem. Ławki i stołeczki poustawiane w komnacie; w środku po-

sadzki widać pierścień schodów spustowych, prowadzących do wnętrza innej komnaty.

SCENA PIERWSZA.

FRANCZESKA siedzi nad książką i czyta. Towarzyszki jej siedzą kołem na stołeczkach i, haftując kraje płaszcza, słuchają opowieści. Każda z nich ma u pasa małe szklane naczynie, napełnione perełkami i złotemi nićmi. Słońce marcowe pada na karmazynową materyę i rzuca odblask, w którym płoną twarze, pochylone nad haftem. Niewolnica stoi na balkonie i z uwagą przygląda się niebiosom.

FRANCZESKA czyta. I Galeotto błagał ją i mówił:
„Przez Boga, pani, okaż-że mu litość!
Uczyń to dla mnie, jakbym ja dla ciebie
uczynił wszystko, o co byś prosiła".
„Jakąż okazać mam litość?" „O pani,
ty wiesz, że ciebie kocha nadewszystko
i że dla ciebie uczynił on więcej,
niż jakikolwiek rycerz dla swej Sarry."
„Niema wątpienia, że uczynił dla mnie
więcej, niż mogłabym mu to nagrodzić
i cobykolwiek zażądał odemnie,
odmówićbym nie mogła — przenigdy.
Lecz on nie żąda niczego, a tylko
smętny jest zawsze nad podziw." I zasię
rzekł Galeoto: „Okaż-że mu litość,
pani!" A ona: „Okażę mu litość,

jaką-li chcecie, ale on nie żąda
przecież niczego."

(Białogłowy się śmieją. FRANCZESKA opada, zmęczona i sposępniała, w aksamitowe poduszki.)

GARSENDA. Jakżeż tak wstydliwym
mógł być, madonno, rycerz Lancelotto?

ALDA. A ona-ć biedna królowa
ginie z tęsknoty, aby go obdarzyć
tem, czego od niej nie żądał.

BIANKOFIORE. Trza było rzec mu: „Odważny mój panie,
twój cały smętek i za grosz nie stanie."

ALTICHIARA. Juścić wesołość lubiła Ginewra
i krotochwilę, a jednak niczego
tak nie pragnęła, jak miękkiego łoża.

ADONELLA. Zaś Galeotto, jako że był książę
wielce wspaniały, znał się na tej sztuce,
którą my, wiecie — — —

FRANCZESKA. Milcz-że, Adonello!
Już mnie znużyły te swywolne żarty!
Smaragdi, sokół czy wrócił?

SMARAGDI. Nie wrócił;
poleciał sokół.

FRANCZESKA. Nie słychać
jego złotego dzwoneczka?

SMARAGDI. Nie słychać, pani. Wzrok mam nienajgorszy,
ale go dojrzeć nie mogę.
Pofrunął nazbyt wysoko.

(FRANCZESKA wychyla się przez okno i rozgląda się naokoło.)

ALDA. Pewnie się zgubi, madonno!
Nie trza go było odwięzywać z linwy.
Ptak to jest nazbyt gniewliwy.

GARSENDA. Tak; był z gatunku owych z Ventyncilii,
dumny: trzynaście piórek miał w ogonie.

ALTICHIARA. Z wyspy jest ród tych sokołów —
zapewne teraz wrócił do śródmorskiej
swojej dziedziny.

BIANKOFIORE. Na żórawie
był tresowany. Chwytał je przedziwnie.
A Simonetto każe wam się kłaniać
i o żórawia prosi, bo z kolanek,
pragnie, madonno, zrobić dwie piszczałki,
jako że — mówi — głos z nich jest nad wyraz
miły...

GARSENDA. Nie wróci!
On już nie wróci! Pyszny był, jak wiecie;

ten, co go, pani, wam darował — pana
Malatestina mam na myśli — obyć
tego nie słyszał! Trza było mu w nocy
smarować dzióbek tłuszczem —
tłuszczem z końskiego pępka,
takby się wówczas rozkochał, madonno,
w Waszej Miłości, że nie miałby chęci
uciekać od was!

(FRANCZESKA wybucha śmiechem.)

ADONELLA. Patrzcie,
co za przemądra doktorka!

ALTICHIARA. Tłuszczem z końskiego pępka —
smarować w nocy!

GARSENDA. Juści!
Można to czytać w książce króla Daneki,
pierwszego mistrza w sokolnictwie — wszystkie
są tam przepisy.

FRANCZESKA. Idź-że,
idź, Adonello,
do sokolnika, powiedz mu, co zaszło,
i niech przywabi go z powrotem; powiedz,
by go poszukał za wszelaką cenę.
Zapewne siedzi gdzieś na jakiejś wieży —
niech go poszuka za wszelaką cenę.

(ADONELLA rzuca robotę i wybiega.)

ALTICHIARA. Pewnieć, madonno, uleciał pościgiem
w ślad za piennemi jaskółkami.

ALDA. W morze
sączy się krew jaskółek!

BIANKOFIORE śpiewa pieśń taneczną.
„I znowu w dniach marcowych
wracacie, jaskółeczki,
z błękitnych krajów zamorskich...“

FRANCZESKA. Tak, tak, Biankofiore —
śpiewajcie mi, śpiewajcie!
Cienkim zanućcie mi głosem
cichą, przecichą pieśń!
Rzućcie te igły precz,
pocznijcie śpiew...

(Towarzyszki wstają z gotowością i zwijają płaszcz.)

FRANCZESKA. Ty, Biankofiore,
pójdziesz po Simonetta.

BIANKOFIORE. Dobrze, madonno!

FRANCZESKA. Ty, Aldo, Biorda
i Signorella zawołasz i Rossa —
niechaj muzyckie przyniosą narzędzia
i nuty
i niech mi grają w komnacie.

ALDA. Madonno,
dobrze!

FRANCZESKA. A ty zaś pójdziesz po lekarza,
Altichiaro.

ALTICHIARA. Już idę, madonno!

FRANCZESKA. A ty, Garsendo,
jeśli napotkasz florenckiego kupca,
każ mu tu również się zjawić.

GARSENDA. Madonno,
pójdę go szukać.

FRANCZESKA. Chcę także
wianka fiołków —
wszakci to pierwszy dzień marca.

BIANKOFIORE. Mieć go będziecie i wielce nadobny.

FRANCZESKA. Więc idźcie z Bogiem.

Exeunt omnes.

SCENA DRUGA.

(FRANCZESKA zwraca się do niewolnicy, która dotychczas jeszcze patrzy przez okno w niebo.)

FRANCZESKA. Smaragdi, nie wrócił?

NIEWOLNICA. Pani, nie wrócił.
Ale sokolnik chwyci go na pewno —
niech Wasza Miłość się nie martwi.

FRANCZESKA. Juścić się martwię. Pan Malatestino
będzie się sromał, że tak nie ustrzegłam
jego podarku. Dał mi — tak powiedział —
króla sokołów. I ja go straciłam!

NIEWOLNICA. Dziki i do niczego
jest ptak, co tak daleko
ucieka z oczu ludzi.

FRANCZESKA *milczy przez chwilę, potem:*
Bardzo się lękam.

NIEWOLNICA. Kogo się lęka Wasza Miłość? Kogo?

FRANCZESKA. Malatestina.

NIEWOLNICA. Żali
czujecie trwogę przed jego oślepłem
okiem?

FRANCZESKA. Nie! trwogę czuję przed tem drugiem,
na które widzi. Jest straszne!

NIEWOLNICA. Madonno!
sprawcie, by was już nie ujrzał.

FRANCZESKA. Jakie ty wino dałaś mi, Smaragdi,

na wieży Mastra, wówczas, kiedy miasto
za broń chwyciło? Był-że li ten trunek
zaczarowany?

NIEWOLNICA. Co chce Wasza Miłość?

FRANCZESKA. Niesamowity jakiś napój; jadem
wciskał się w żyły tych, którzy go pili
i dola moja sroga!

NIEWOLNICA. Cóż to za smętek, pani,
Tak cię ogarnia? Choć nie wróci sokół,
wróciło k'tobie słońce,
które twa dusza tak kocha.

FRANCZESKA pobladła, z niepohamowanym gniewem.
Nikczemna!
Jak śmiesz tak mówić! Jakże śmiesz! Więc zdradę
knujesz przeciwko mnie i ty?... Przeklęta
niech będzie chwila, gdyś mi go przywiodła
na fałsz i kłamstwo!
Któż to ku śmierci torował mi drogę?
Ty! ty! nikt inny! Nie ja-ć zostawiłam
te trzy kielichy goryczy;
tyś mi je przedtem podała i dotąd
co dnia mi trunek lejesz z nich, bez żalu.

(Niewolnica rzuca się na posadzkę.)

NIEWOLNICA. Zdeptaj mnie! zdeptaj! Między dwa kamienie
włóż głowę mą i zmiażdż!

FRANCZESKA snać uspokojona.

Wstań, ty nieszczęsna! Nie w tobie jest wina,
nie w tobie wina, Smaragdi!
Niespodziewanie wyszłaś naprzeciwko
mojej rozkoszy, jak duch mego serca.
I twoje oczy obsiadła ślepota!
I moc tasama zaślepiła również
bezprawie ojca mojego. Bezradni
wszyscy staliśmy wraz i beznadziejni,
biedni i nieświadomi,
na brzegu jakowejś rzeki,
a zasię wszyscy niewinni —
na brzegu rwącej, rozszalałej rzeki.
Ja sama ją przebyłam,
nie oglądając się na was,
i jestem na drugim jej brzegu.
I oto
jesteśmy rozłączeni
ach! i już nic nas połączyć nie zdoła!
Teraz ja mówię do was:
Nie mogę! A wy mówicie:
Powracaj! wracaj!
Ja-ć mówię wam: nie umiem!

(Ostatnie wyrazy wymawia niemal jak kadencyę Kantileny; potem śmieje się śmiechem suchym i gorżkim, jak gdyby naraz straciła zmysły. Przeraża się dźwiękiem własnego śmiechu, podczas tego niewolnica powstaje z ziemi.)

FRANCZESKA. Trzymajcie się zmysły!

Nie odbiegajcie mnie!
W czyjej ja władzy? W władzy złego ducha?
W mem sercu się zaśmiał
szatan! Słyszałaś?
Już się nie umiem modlić, już nie umiem!

NIEWOLNICA głosem stłumionym. Mam go tu przywieść?

FRANCZESKA. Kogo?

(Ogląda się naokoło przerażona; wzrok jej zwraca się ku nieruchomej portyerze. Przestrach więzi jej piersi i głos jej dławi w gardle.)

FRANCZESKA. Pan Giovanni siadł na koń — widziałaś?

NIEWOLNICA. Tak, Wasza Miłość, wyjechał ze starym,
ze starym panem Malatestą. Mają
być u biskupa przy jakiejś ugodzie —
jako świadkowie. W tej chwili mijają
Santarkandżelo.

FRANCZESKA tajemniczo. O, czujna
jesteś, Smaragdi, czujna! Wszystko widzisz
i wszystko słyszysz i zawsze wiesz wszystko,
cokolwiek stać się może...

NIEWOLNICA. Wasza Miłość
niech się nie lęka — niechaj śpi spokojnie!
Obym ja mogła tak cię uszczęśliwić,
jak ten kosztowny kamień, od którego
noszę nazwisko!

FRANCZESKA. A wiesz, gdzie jest teraz
Malatestino?

NIEWOLNICA. Tak! ojciec go wysłał
do Ronkofreddo z trzydziestu jezdnymi.

FRANCZESKA. Ja go się lękam... Osłaniaj mnie przed nim!

NIEWOLNICA. Dlaczego, pani? Wszakże, gdy był chory,
mieliście nad nim pieczę dniem i nocą,
jak siostra.

FRANCZESKA. Siostra — wyraz ten zatruwa
usta. Gdzie jesteś, gdzie Samarytano?
I gdzież to płynie ten twój strumień świeży,
który mej duszy, ginącej z pragnienia,
już nie ochłodzi? Widzę wokół, w mrokach,
mnogo straszliwych ócz, zwróconych we mnie,
ócz dzikich zwierząt, gotowych się rzucić
na mnie i potem szarpać się wzajemnie
i żreć o zdobycz!
A przecież mają krew jednaką w żyłach,
są braćmi!
Jedna ich wszystkich urodziła matka.
Cóż to za smutna spadła na mnie klątwa?
I któż to rzucił mi ten grzech śmiertelny
na drogę życia mojego? O, powiedz,
ty kreaturo ziemska, co korzenie
ziół jadowitych wykopujesz — powiedz,

skądże się wzięła ta zbrodnia
przeciw naturze? Tyś mnie
twardej uczyła pieśni:
„Jeżeli znajdę trzy, to trzy zabiorę!
A teraz szatan porwał trzy odrazu
i mnie wraz z niemi."

NIEWOLNICA. Nie wzywaj imienia zła!
Niechaj ci będzie przebaczone, pani,
na ciele i duszy twej!
Sama się oszukujesz!
Mrok jest dla ciebie zwierciadłem, gdzie własne
widzisz płonące oczy.
Nie wzywaj losów wrogich
na swoją głowę! Niech cię Bóg tak strzeże,
jak strzedz cię będę ja, twa niewolnica.

FRANCZESKA. Niema już dla mnie ucieczki! Tyś rzekła —
mrok jest zwierciadłem mojem... I sam Pan Bóg
pragnie mnie zgubić. Noce
i dnie siedziałam przy chorym, ażeby
ponieść pokutę za me błędne myśli.
Śród modłów
dotykałam się rany;
modłami wrażą zmywałam nieczystość
i dusza moja sądziła, że łaskę
i poratunek znajdzie w samej grozie;
a wtem dostrzegła oną chuć zwierzęcą,

rozpłomienioną w zbyt gwałtownych żyłach.
Czy ty rozumiesz? Kiedy się zamknęła
ta straszna rana popod jego skronią,
rychło mu w piersi rozwarła się druga.
I moje myśli błędne,
me rozpaczliwe myśli były dla mnie
daleko bardziej zbrodnicze, daleko
czarniejszym nasiąkłe jadem.
I na tym bolu ciążyło me ciało,
jak płaszcz nieznośny;
już mi na zawsze wygnano
rozkosze wiosny i snu; skamieniało
nawet oblicze miłości —
z strachu — nienawiść zasię i tęsknica
poczęły błądzić śród ciemności świata,
ku dziełom śmierci jęły się zataczać,
jak kaci,
oszołomieni winem
i rozwścieklени, mordujący wzajem
jeden drugiego.

NIEWOLNICA głosem stłumionym. Nie rozpaczaj, pani!
Słuchaj! posłuchaj! Umiem
los ja zgotować temu, co cię taką
napełnia trwogą. Znam-ci ja też napój,
który odbiera zmysły i zabija
pamięć. Gdy z siodła zeskoczy, strudzony,

ty mu go lewą ręką
podasz — ja ciebie nauczę zaklęcia.

FRANCZESKA. Gdy tak pomaga, daj-że mnie ten napój,
ja go wypiję, ja ciebie
chcę wyswobodzić. Tu niema już dla mnie
ratunku. Sen mi wytłomacz,
jawiący mi się co nocy.

NIEWOLNICA. Niech Twoja Miłość powie —
ja ci go wytłomaczę.

FRANCZESKA. Dzikie co nocy widzę harcowanie,
które już widział Nastadżio z Onesti
w piniowych lasach Rawenny, jak o tem
słyszałam kiedyś z ust Bannina, idąc
na chiassyńskie wybrzeże... Wyraźnie,
jakby na jawie to widzę: Jakowaś
naga niewiasta, z rozwianemi włosy,
przebiega puszczę, pokłuta cierniami
i błagająca litości;
za nią dwa psy ogromne
pędzą w pościgu, pragnący ją pożreć;
w ślad jej na czarnym rumaku
mknie jakiś ciemny rycerz o kościstej,
żylastej twarzy i, miecz dzierżąc w ręku,
grozi jej śmiercią w przeraźliwych słowach.
I wnet się psy te wgryzły
w uda tej nagiej dziewki

i zatrzymały ją w miejscu.
Rycerz zeskoczył z konia
i z strasznym mieczem w ręku,
natarł na białogłowę,
która, trzymana przez dwa psy ogromne,
na klęczkach błaga litości.
A owy rycerz całą swoją siłą
piersi jej przebił na wylot; i ona
na wznak upadła, płacząc.
Potem ów rycerz wraz się noża imie,
plecy jej rozpołowi
i serce wydrze ze wszystkiem,
co jest naokół niego,
i psom je rzuci zgłodniałym,
które odrazu to pożrą.
Ale za chwilę, jak gdyby
nie była nigdy umarła,
znowu powstanie ona-ć białogłowa
i znów bolesną poczyna ucieczkę
ku stronie morza. A za nią
gonią psy krwawe i rycerz
na czarnym pędzi rumaku
z dobytym mieczem w ręku,
z ustami pełnemi gróźb.
Taki sen miewam — wyłóż go, Smaragdi.

(NIEWOLNICA przysłuchiwała się z wyrazem przerażenia.)

Żali się boisz?

SCENA TRZECIA.

Wchodzi GARSENDA z KUPCEM, za którym postępuje służący z pakunkiem.

GARSENDA wesoło. Madonno, kupiec się zjawił i suknie
przyniósł ze sobą. Czy mu Wasza Miłość
pozwala wejść do komnaty? Florentczyk,
który tu przybył wczoraj razem z świtą
Pana Paola.

(FRANCZESKA naraz poczerwieniała, otrząsa się z ponurych myśli i zdaje się, jak gdyby gwałtem chciała zapomnieć o śmiertelnym przestrachu, ale swobodzie i lekkości jej towarzyszy mimo to pewien rodzaj przygnębiającej surowości.)

FRANCZESKA. Wejdźcie, prosimy; nowej nam potrzeba
odzieży na czas ten nowy.
Wejdźcie, prosimy; pragnęłabym sukni
hermezynowej, wzorzystej,
stoma błyszczącej barwami,
któraby blask swój zmieniała
za każdą fałdą — o moja Smaragdi,
pragnę mieć suknię wesela!

(KUPIEC kłania się uniżenie.)

Zacny mój kupcze, czem mnie poczęstujesz?

KUPIEC. O wielkomożna pani! Mam-ci wszystko,
co zadowoli Waszą Wielkomożność:

Mam lekkie gazy, mam i brokatele,
wypukłowzore, w haft na hafcie tkane,
karmazyny, adamaszki,
aksamity, kameloty,
grozagrany, etaminy,
zdobne w szyszki albo ptaszki,
barchany i atłasy,
sycylijskie katalofy,
piękne futra z Neapolu,
altembasy i tiufenie,
tafty srebrem, złotem tkane —
wzór falisty — sukna z Lukki,
sukna z Osty, z Dondiscaste,
z Bruggi, Tournai, z Terramondu,
z Mostavolieri w Normandyi;
Mam jedwabie z miasta Como
i mieniące się kitajki,
tkane w drzewka, oka, ząbki,
w szachownice, w centki, w ości,
mam welwety różnowzore,
w jeden, we dwa, we trzy włosy...

(GARSENDA wybucha śmiechem.)

FRANCZESKA. Dosyć! już dosyć! A czy masz w Rimino składnię dla tylu towarów?

KUPIEC. Ja jestem
Giotto di Bernarduccio Boninsegni,

faktor kompanii Piera di Niccolaio
z Oricollari, który ponad tysiąc
sztuk przeróżnego towaru ma w śpichrzach
i w Kalimali i w Kalimaruzzy
i swych faktorów wysyła na zachód
aż do Islandyi i na Wschód daleki
aż do Cattaio, wielkomożna pani!

(GARSENDA się śmieje. KUPIEC podnosi się i przygląda się jej.)

GARSENDA. Pewnieś niejeden złoty
rzucił któremuś z hołoty —
Księdzu Gianni lub Psu z Babilonu.

(KUPIEC rozkłada tłumok z sukniami u stóp Franczeski, leżącej na wezgłowiu, i pokazuje jej materye.)

KUPIEC. Udajemy się aż w warmijskie ziemie,
po sobole, gronostaje,
po kuny i po wilczury
i różne inne futra —
zaś wełnę skupujem w klasztorach
angielskich i w Chinach dalekich,
hen, w Croccostranie, Isticchi, Bilgnassi,
Diolacresca, Giutebbi, Bufeltro
w hrabstwie Kornwalskiem.

GARSENDA śmiejąc się. Zatem króla Marka
na własne oczy widziałeś w Kornwalii,
i złotowłosa Izolda u ciebie

kupiła sztukę jasnego brokatu —
niema wątpienia — alboś jej w tłumoku
przyniósł do komnat samego Tristana.

KUPIEC. Ponoć w Romanii wolno chwytać ptaki —
jeno że gil już het jest poza rzeką,
a zaś gilowa właśnie Pad przebyła.

GARSENDA. Strzała florencka i lombardzka
to strzała jest bękarcka —
ni ziębi mnie ni parzy —
znać mi się jej nie zdarzy.

FRANCZESKA przeglądając suknie.
Piękny ten brokat w złote granaciki —
A w jaki sposób przybyłeś, Giotto,
tu do Rimino?

KUPIEC. Wielkomożna pani!
Pełne jest przygód życie
każdego kupca. Przeto
korzystać musi z każdej chwili.
I mnie szczęśliwie tak się wydarzyło,
że mogłem bezpiecznie odbyć
tę moją podróż w świcie
pana Paola. Pewnie-ć
nasze koniska tak dalekiej drogi
nigdy w tak szybkim nie odbędą czasie.

Z panem Paolo rzadko się spoczywa —
dzień każdy wielce jest długi — o długi!

(FRANCZESKA zdaje się spokojnie przeglądać materye, ale w jej oczach mimowolny zjawia się uśmiech. GARSENDA w klęczącej postawie wybiera najpiękniejsze suknie.)

FRANCZESKA. Tak jechaliście szybko?

KUPIEC. A jakże;
mogę powiedzieć: całkiem bez spoczynku,
wolno puściwszy uździenice. Rzeki
przebywaliśmy w bród, nieczekający,
aże opadnie woda. Pan Paolo
tak się zaś spieszył,
tak ostrogami spinał
swego rumaka, że zawsze przed nami
był całą milę. Zda mi się, że ważne
ma tutaj sprawy. Wziął urlop od miasta
i niby wrócić ma we dwa miesiące
albo też małoco więcej
od chwili, gdy objął swój urząd.
Mogę powiedzieć, całe miasto w wielkim
zostawił bolu, bo juścić w Florencyi
żaden godniejszy rycerz
nie był, powiadam, naczelnikiem ludu.

FRANCZESKA. Wezmę ten brokat.

KUPIEC. Tak, Wasza Wielmożność.

A Bernardino della Porta z Parmy,
wybrany w jego miejsce,
nie godzien ani włoska
z pana Paola głowy.

FRANCZESKA. Wezmę również
i ten aksamit.

KUPIEC. A tę kitajkę, przetykaną złotem...?

FRANCZESKA. I owszem... owszem... Wielceć mi do gustu.
A czy to prawda, że wy Florentczycy
wciąż świątkujecie? Że u was dzień po dniu
uroczystości, biesiady i tańce?

KUPIEC. Prawda, madonno, wesoła to ziemia,
pełna uciechy
ta ziemia florencka.
Wszak kwiatem kwiatów jest nasza Florencya!

FRANCZESKA. Wezmę tę srebrem przetykaną taftę.
A pan naczelnik rad bywał widziany
śród pań? rycerzy?

KUPIEC. Owszem — towarzystwa
wszystkie się ubiegały,
by go zapraszać do siebie,
iże jest wielce dworny i wymowny,
ale, o ile mam wieści,
lubi samotność, był też nieco dumny,

tak widywano go rzadko
u biesiadnego stołu. W karnawale —
wiem to od pana Betto dei Rossi —
na drugim brzegu Arna, w okolicy
Santa Felicita, wżdyć z jakie tysiąc
zeszło się osób, wszyscy w białych sukniach —
i ci pragnęli mieć pana Paola
królem miłości,
lecz on się na to nie zgodził.

FRANCZESKA. O, wezmę
i ten mieniący się karmazyn — śliczny,
i adamaszek ten w główki... Mówiłeś,
mój ty Giotto — — —

(GARSENDA zbiera wybrane materye i odkłada je na stronę, potrzymawszy je poprzednio pod słońce, aby zobaczyć, jak się mienią.)

KUPIEC. Widziałem go często
razem z Gwidonem z panów Cavalcantich
dei Cavalcanti, który jest podobno
najznakomitszym logikiem na świecie
i największym
naturalistą-filozofem,
co w grobach szuka dowodów,
że Boga niema.

FRANCZESKA. Garsenda —
tobie wybrałam aksamit
fioletowy...

GARSENDA. O dzięki, madonno!
Bardzo się czuję szczęśliwą.

KUPIEC. Przemiły fiolet,
subtelny w barwie jak ~ ~ ~

FRANCZESKA. A ty Smaragdi?
Coś mówił, Giotto?

KUPIEC. Widziałem go nieraz
z dobrymi muzykanty ~
głównie z muzykiem Casellą z Pistoi,
który jest mistrzem w układaniu pieśni
miłosnych...

FRANCZESKA. Tobie, Smaragdi, ten jedwab
brunatnozielonawy.
Dam-ci też nowe suknie Altichiarze
i Biankofiorze...

KUPIEC. Kolor
ten najmodniejszy, zwie się
kolorem „sroczki morskiej", nadzwyczajny,
w złociste winogrona; dziesięć łokci
wzięła odemnie zeszłego tygodnia
madonna Guiglia degli Adimari.
A to we wzorki gęsie i w kapłonie
nóżki i w ucha niedźwiedzie i w pióra

aniołów i w gołąbki,
w kosaćce ~ ~ ~ nowe kolory...

FRANCZESKA zrywając się, jak gdyby dusza jej nagle uleciała w dal.
Zostaw to tutaj, obejrzę je sobie
później, w spokoju...

(Wychyla się oknem ku jaśniejącemu morzu i patrzy, ręką przesłoniwszy oczy.)

Silne jest to słońce
marcowe, silne i szalone!
Łódź jakaś płynie z żaglem purpurowym...
stada jaskółek powracają do nas.

GARSENDA do kupca. Długo tu jeszcze zabawisz w Rimino?

KUPIEC. Trzy dni. A potem udaję się w podróż
aż do Barletty, a stamtąd popłynę
do Cypru...

(Niewolnica drgnęła, usłyszawszy imię swej ojczyzny.)

GARSENDA. Słyszysz, słyszysz,
Smaragdi?

SMARAGDI zaciekawiona. Kupcze, do Cypru popłyniesz?

KUPIEC. Udaję tam się co roku. Spólników
oraz składownie mamy w Famagoście.
Krocie tysięcy bierzemy co roku
za towar... Z Cypru jesteś?

SMARAGDI. Racz odemnie
pozdrowić piękną górę Chionodes,
co ma na szczycie śniegi, a na stokach
gaje oliwne. Z Mitryjskiego źródła
napij się wody za me serce!

FRANCZESKA odwracając się. Na wyspę Cypr popłynę,
w Limissie do portu zawinę,
za pocałunek wysiędą żeglarze,
a sternik przedsię za miłość.

(Słychać wesołe narzędzi muzyckich przegrywki. FRANCZESKA zwraca się z ociężałą miękkością ku łożu, jak gdyby chciała spocząć.)

NIEWOLNICA. A któż tam królem? Czy jeszcze Ughetto?

KUPIEC. Ughetto umarł bardzo młodo. Krewniak
jego króluje, Hugo z Lusignanu.
I ukazały
wielkie się zbrodnie,
zdrady baronów, niewiast trucicielstwa,
przyszły szarańcze,
trzęsienia ziemi
i demoniacka zjawiła się Wenus.

(Ku drzwiom zbliża się granie, śmiechy i głosy. FRANCZESKA, zerwawszy się z łoża, staje pomiędzy dwiema zasłonami.)

SCENA CZWARTA.

Do komnaty wpadają wszystkie białogłowy z wyjątkiem Adonelli; za niemi LEKARZ, ASTROLOG, GRAJEK GIAN FIGO i inni muzykanci, którzy

natychmiast zaczynają stroić swe narzędzia i na rozmaity intonować sposób. Lekarz ma na sobie długą aż po kostki suknię barwy ciemnopurpurowej; astrolog ubrany jest w płaszcz brunatny z odcieniem zielonawym i w czarny turban w żółte pręgi; GIAN FIGO zjawia się w kubraku szkarłatnym. Muzykanci wstępują na chórek i wybierają miejsca.

ALTICHIARA. Oto, madonno, maestro Almodoro!

ALDA. Wraz z nim, madonno, idzie i astrolog.

BIANKOFIORE. Jest i Gian Figo, trefniś, który pewne
na melancholię ma lekarstwo:
powiastki, dykteryjki, proszki i przeróżne
wesołe krotochwile!

ALDA. Przybyli też grajkowie,
ażeby zagrać do tańca,
na flecie i piszczałce,
na lutni i monokordzie.

(FRANCZESKA stoi pomiędzy kotarami i patrzy przed siebie zadumana, bez uśmiechu, milcząca.)

BIANKOFIORE wysunąwszy się naprzód. A oto i wieniec
z fiołków.

(Z wdziękiem podaje wieniec z fiołków.)

Umie on rozwiać wszelką melancholię.

GARSENDA. O mistrzu Almodorze,
w twym płaszczu kryje się Gallenus
i Hippokrates razem z Awicenną —
co to jest melancholia?

LEKARZ podchodzi ku środkowi i uroczystą przybiera minę.

Melancholia
to coś z wilgoci, którą wielu zowie
czarną wątrobą; jest sucha,
natury ziemnej
i jesiennej. Nec dubium est quidam
melancholicus morbus
ab importore Diabolo.

(GIAN FIGO staje przed nim i zakrywa go całkiem szerokością swej postaci. Damy i grajkowie szepcą pomiędzy sobą i chichocą.)

GIAN FIGO. Gdy się twój dyabeł rodził,
to mój już dyabeł koło stołków biegał.
Melancholia, madonno,
znaczy: tak pić, jak Niemcy,
wyłgiwać się, jak Greki,
a, jak Francuzi, śpiewać,
tańcować, jak murzyni,
sypiać, jak Angliczanie,
i tak się trzymać na nogach,
jak linoskoczek, messer Ferragunze.
Dostałem kiedyś od Waszej Miłości
dwie sztuki zacnego szkarłatu;
lecz nowy kubrak przemienił się w stary;
czy Wasza Miłość nie posiada,
jeżeli łaska, dwóch sztuk aksamitu?

(Damy się śmieją. Gian Figo zerka ku towarom, poustawianym przy łożu.)

GARSENDA. Oto astronom! Teraz mówić będzie
wielki astronom syryjski,
który wie wszystko!

(Brodaty astrolog przybiera minę ponurą i mówi głosem, idącym jak gdyby z ciasnego grobu.)

ASTROLOG. Nie każdy strzałę widzi, kto ma oczy,
lecz kto, nie widząc, zoczy,
ten ją wyciągnie stąd, skąd życie kroczy.

GIAN FIGO. Kpię z twojej mowy proroczej.

FRANCZESKA marszczy brwi i pochyla się ku Saracenowi.
Cóż ma oznaczać, mistrzu Izaaku,
twoja zagadka? Powiedz!

ASTROLOG. Kto spojrzy w wnętrze, ten, pani,
nic nie uwidzi, chyba że chce widzieć.

GIAN FIGO. A zaś Friulczyk mówi:
Ten, kto pożąda damy, żąda pana,
a kto pożąda pana, ten jest filut!
A zaś Madama
Mogias z Egiptu w swej księdze,
co się nazywa: „Jak zdobywać serce",
pisze, iż każda niewiasta
ma siedemnastu wrogów.

(Wchodzi ADONELLA, niosąca pięć narcyzowych wieńców, zawieszonych na złocistym drucie.)

ADONELLA. Sokolnik przyniósł sokoła, madonno;
ma kilka piórek złamanych
i wyskubanych. Ciepłą
leczy go teraz wodą i bawełną.

ASTROLOG. Dziób sokołowi przeciąć, to zła rada;
lecz czasem dobrze się składa
stępić mu szpony, gdy puch mu wypada.

FRANCZESKA. I znowu, mistrzu Izaaku,
przemawiasz zagadkami?

ASTROLOG. Nie każdy mówi, kto mówi; lecz śnicie
wżdyć jest milczeniem; bole chowa życie,
a zasię prawda w wróżbie ma ukrycie.

GIAN FIGO. Znakomicie!
Requiescat in pace. Amen. Dajcie
tutaj katafalk!
O saraceński Izaaku!
Największym jesteś z astronomów!
I w wróżbach jesteś biegły —
lecz powinieneś dać mi wyjaśnienie —
powiedz: co łatwiej wiedzieć człowiekowi,
to, co minęło,
czy to, co przyjść ma? — odpowiedz!

ASTROLOG. Któżby, przegłupi człeku, nie znał tego,
co na swe widział oczy?

GIAN FIGO. Ano-ć ujrzymy, czy ty znasz to wszystko.
Powiedz mi zatem, coś robił
pierwszego marca przed rokiem?

(ASTROLOG się namyśla.)

GIAN FIGO. Albo mi powiedz, coś robił
przed sześciu miesiącami?

(ASTROLOG się namyśla. Damy się śmieją.)

GIAN FIGO mówi ogromnie szybko. Krótko i węzłowato:
jaka pogoda była przed kwartałem?

(MISTRZ IZAAK namyśla się, stojąc jak wryty. GIAN FIGO chwyta go za kaftan.)

GIAN FIGO. Mój Izaaku!
Nie stój jak w zachwyceniu, z błędnym wzrokiem.
Trzymaj się ostro. Jaki statek
przybył do portu, a jaki odpłynął
dziś przed miesiącem? Co wytrzeszczasz oczy?
Przed dwoma tygodniami
gdzieś obiadował? powiedz!
W domu czy poza miastem?

ASTROLOG. Poczekaj chwilę.

GIAN FIGO. Poco? Nie chcę czekać.
No dalej — co robiłeś
o tej godzinie przed tygodniem?

ASTROLOG. Dajże mi wytchnąć trochę!

GIAN FIGO. Co? Mam dać wytchnąć tobie,
który znasz rzeczy przyszłe? A co jadłeś
pozaonegdaj?

ASTROLOG. Zaraz powiem.

GIAN FIGO. Jakie mi zaraz! gadaj!

ASTROLOG. Coś ci jest bardzo spieszno.

GIAN FIGO. Co znaczy: spieszno? Gadaj-że, co jadłeś
na obiad wczoraj? Odpowiedz!

(ASTROLOG pieni się ze złości i chce się od niego odwrócić. GIAN FIGO trzyma go za kaftan.)

GIAN FIGO. Stać mi! popatrzeć mi w oczy!
Dziesięć na jeden zakładam się z tobą,
jako że nie wiesz, spisz-li czy też czuwasz?

ASTROLOG. Ja wiem, że nie śpię, i to wiem, że jesteś
najgłupszy z ludzi, jacy są na świecie.

GIAN FIGO. A ja ci mówię, że ty nie wiesz tego.
Chodź tu! Nie chowaj się za wiatr, wiejący
od Mongibello. Ponad tysiąc razy
przebiegłeś, mówię ci, schody
w dzwonnicy u Świętej Kolumby —
ile też mają one stopni? Chodź tu!

Nie wyrwiesz mi się! Częstoś jadł nespole —
ile też pestek jest w takim owocu?

(ASTROLOG, wściekły, uwalnia się wśród śmiechu otaczających, z rąk Giana Figa.)

GIAN FIGO. A jeśli tego nie wiesz,
jakże się możesz znać na sprawach nieba
i na kobietach i na obcinaniu?
Do powroźnika idź, każ sobie z brody
ukręcić sznurek i powieś się, proszę,
na jednej z najbliższych gwiazd.

BIANKOFIORE. Madonna się zaśmiała!
Gian Figo sprawił, że uśmiech zawitał
u naszej pani. Idź, lekarzu miły,
do swego domu — idź razem z łaciną
i z swymi leki. Dziś pierwszego marca —
pieśń pragnie tańca, taniec pragnie pieśni.
Hej! Simonetto! zagraj!

(Grajkowie na trybunie zaczynają od przygrywki. Zebrani cofają się wstecz, aby miejsce zrobić dla tańca. Adonella zdejmuje wieńce narcyzowe z złocistego pręta i rozdziela je pomiędzy towarzyszki, które się w nie stroją. Dla siebie zatrzymuje wieniec, mający jako szczególną oznakę dwa skrzydła jaskółcze. Alda wyjmuje z gniazdka cztery pomalowane jaskółki z drzewa, umieszczone na krótkim trzonku i daje każdej z towarzyszek, które w pozycyi tanecznej podnoszą je lewą ręką do góry. Tylko Adonella, mająca wieniec z jaskółczemi skrzydły, otrzymuje piszczałkę, naśladującą świergot jaskółek w odlocie. A podczas, gdy tamte tańczą i śpiewają, ona, w pewnych odstępach czasu, udaje, do rytmu, świergot, zwiastujący wiosnę.)

ALDA. W tym dniu pierwszego marca,
jaskółki, czeladzi boża,
powracające z za morza,
radosnej,
promiennej wiosny
najwcześniejsze gońce,
rozkosz i wonie
niesiecie i słońce!
W sukience czarnej i białej
znowuście zawitały
W naszem tanecznem gronie!
O czasie ty wspaniały,
o ty godzino wiosny!

ALTICHIARA. Przyszedł marzec koić rany,
luty już pierzchnął srogi!
Rzuciłyśmy płaszcz futrzany,
wdziewamy jedwab drogi.
Na kwietnie biegniemy rozłogi,
gdzie rzeka się rozlewa,
gdzie się ku niej chylą drzewa
śpiewające —
idziem bawić się na łące
z kochankami,
tam, gdzie stropy
lśnią niebieskie ponad nami,
tam, gdzie zioła
woń dokoła

leją słodką, bo je stopy
depce wesoła nagiemi,
rozmiłowana wiosna.

GARSENDA. Patrzajcie na postać ziemi —
jak jest zmieniona, jak hoża!
By perła blaski jasnemi
lśni się oblicze morza,
skowronek wzleci w przestworza,
hen! w najgórniejsze niebiosy!
Brzmią już po gajach kosy
i dzika dłoń wichury
w swej mocy ponurej
zawzięta,
rozrzuca gniazdka im świeże...
Ptaszęta!
Jaskółki! wasz świergot szczęśliwy
jest jako dźwięk cięciwy,
a wasz ogonek jak pierze
łuku — o dziwy! —
co trafia nas z ręki wiosny!

BIANKOFIORE. O ty gromadko wesoła!
Wraz z nami tańczyć dziś macie!
Pociechy naszego koła,
w białej i czarnej szacie!
W tej naszej strojnej komnacie
niech rozśpiewaną mocą

rozbrzmiewa dniem i nocą
wieść o Izoldzie, tym kwiecie
ziemi irlandzkiej. Bez troski,
rozradowane, w tych wiankach zwijecie
potem gniazdeczko, bo zasię
ta pani w rajskiej krasie,
ten cudny obraz boski,
to nie Franczeska, zda się,
to ~ ~ ~

(Tanecznice zwracają się nagłym ruchem ku Franczesce i, w jednym szeregu, wyciągają ku niej dłoń z jaskółkami i, bez robienia przystanku wpadają w ostatni wyraz stancy Biankofiory:)

WSZYSTKIE RAZEM. Wiosna!

(Przy słowach „Niech w naszej strojnej komnacie" zjawia się we drzwiach NIEWOLNICA. Podczas, gdy grajkowie ostatnie wydobywają dźwięki, ona zbliża się cicho do swej pani i szepce jej coś do ucha, co ją odrazu wprawia w niepokój.)

FRANCZESKA gwałtownie.
Biankofiore, Altichiara, Alda, Adonella,
Garsenda! Wielce wdzięczna
za ten wasz piękny taniec,
daję wam nowe suknie ~
oto je macie! bierzcie!

(Nachyla się nad rozrzuconemi materyami i rozdziela je pomiędzy otoczenie.)

Tobie! tobie! tobie!

(GRAJEK skrada się również ku niej.)

I tobie również! Bierz to,
mój Gian Figo i naucz się milczeć.
A to, Garsendo, może być dla grajków —
niech sobie świeże uszyją kapoty
w prążki czerwone i żółte.
Przynieś, kupcze,
dwie jeszcze piękne sztuki — mistrz Izaak
weźmie to sobie i mistrz Almodoro.
A teraz idźcie,
poprzez dziedziniec, śpiewający wespół
pieśń o jaskółkach. Potem wrócisz, kupcze,
Garsenda cię zawoła.
Możesz zostawić towar.
Aż do wieczora bawcie się w dziedzińcu.
Ty, Adonella, prowadź ich! Żegnajcie!
Szczęśliwej wiosny wam życzę!

(Muzykanci zstępują z estrady i grając wychodzą. Gian Figo w podskokach za nimi. Reszta, skłoniwszy się Franczesce, wychodzi, z darowanemi materyami w ręku, w ślad za dźwiękami muzyki, śród szeptów i śmiechu. NIEWOLNICA pozostała i składa porozrzucane materye. FRANCZESKA oddaje się wzruszeniu. Wzburzona przechadza się po komnacie. Nagłym ruchem zwraca się ku alkowie i zsuwa zasłony, które dotychczas rozwarte pozwalały widzieć łożnicę. Potem staje przy pulpicie i rzuca wzrokiem na otwartą księgę; odwróciwszy się nagle, podołkiem sukni strąca lutnię, która z dźwiękiem pada na ziemię. Wypadek ten napełnia ją przestrachem.)

FRANCZESKA. Nie! nie! Smaragdi! Idźże, idź i powiedz,
by nie przychodził.

(Słychać oddalające się granie. Niewolnica rzuca swe zajęcie i zwraca się ku drzwiom.)

FRANCZESKA *z ruchem, jak gdyby ją chciała zatrzymać.*
Smaragdi!

(NIEWOLNICA wychodzi. Po kilku chwilach jakaś ręka odchyla portyery. Zjawia się PAOLO MALATESTA; drzwi zamykają się za nim.

SCENA PIĄTA.

Oboje w pierwszej chwili spoglądają na siebie, nie mogąc znaleźć słów; rumienią się. Słychać jeszcze oddalające się granie wewnątrz pałacu. Przez okno przelewa się do komnaty blask zachodzącego słońca.

FRANCZESKA. Witam was, panie mój szwagrze!

PAOLO. Oto przyszedłem, posłyszawszy granie,
by was powitać z powrotem.

FRANCZESKA. Powróciliście rychło — razem z pierwszą
jaskółką. Me towarzyszki
śpiewały piosnkę taneczną
na przywitanie marca. Był tu również
i pewien kupiec florencki, przyjechał
wraz z waszą świtą. On pierwszy mi przyniósł
wiadomość o was.

PAOLO. Zato o was dawno
Nie było wieści. Nic ja nie słyszałem
o was od chwili strasznego wieczoru,

gdyście mi dali owy puhar wina,
przy pożegnaniu, życząc mi szczęśliwej
chwili powrotu.

FRANCZESKA. Nie pomnę już tego.
Dużom się, panie, modliła.

PAOLO. Nie pamiętacie?

FRANCZESKA. Dużom się, dużom modliła.

PAOLO. Jam dużo cierpiał.
Jeżeli prawda, że ci, którzy cierpią,
przezwyciężają,
to jam powinien przezwyciężyć.

FRANCZESKA. Co?

PAOLO. Moją dolę, Franczesko.

FRANCZESKA. I wróciliście?

PAOLO. Chcę żyć.

FRANCZESKA. Nie umierać?

PAOLO. Czy pamiętacie, jak wzywałem śmierci,
co mnie nie chciała? Może to przynajmniej
jeszcze baczycie?

(FRANCZESKA zwraca się ku oknu, jak gdyby chciała niepowstrzymanej ujść namiętności.)

FRANCZESKA. Paolo!
Dajcie mi spokój!
Słodko jest żyć w zapomnieniu —
przynajmniej chwilę, zdaleka od burzy,
która nas łamie.
Nie przywołujcie, proszę,
cienia tych czasów w tę światłość wiosenną,
która mi gasi pragnienie,
niby ten napój rzeźwiący,
kiedym przez cudny przechodziła strumień.
Teraz ja myśleć wolę,
że moja dusza uciekła
od tych wybrzeży, ażeby się schronić
tu, gdzie muzyka jest cichą nadzieją.
Wolę zapomnieć o złem,
któregom wczoraj doznała,
którego doznam jutro,
choć pragnę widzieć, by całe me życie
z jego wszystkiemi żyłami,
z dniami wszystkimi
i ze wszystkiemi odległemi sprawy
znalazło spokój choć na jedną chwilę,
by strumień
w głębinach morza,
które się do mnie uśmiecha,
jeśli nie łudzi mnie łza, co w mych oczach
drży, a zaś upaść nie zdoła.
Dziś już spokojne to morze,

wczoraj tak dziko wzburzone,
dzisiaj błyszczące jak perła.
Dajcie mi spokój.

PAOLO. Słyszę melodyę wiosny —
pieśń spływającą z waszych ust na świat ten,
który jadący słyszałem
w poświstach wiatru,
przy każdym skręcie, przy każdym zawrocie,
na szczytach wzgórz
i na skrajach lasów
i pośród szumu potoków,
gdy moja żądza,
skulona w siodle,
zdała się palić grzywą
rozszalałego rumaka;
gdy moja dusza,
niby wstrząsana pochodnia,
żyła-li szałem
i kiedy wszystkie jej myśli,
z wyjątkiem jednej, tak! z wyjątkiem jednej,
gasły pozamną, jak popiół.

FRANCZESKA. Popiołem
są wasze słowa, Paolo, i niema
w nich miłosierdzia i dotychczas w dzikiem
szaleństwie wiatru żyje wasza dusza
i wlecze za sobą

me przerażenie.
Błagam was, błagam,
dajcie mi spokój,
o ty mój piękny, słodki przyjacielu,
przynajmniej jedną tę chwilę,
bym mogła w sobie dawną uśpić winę
ach! i zapomnieć o wszystkiem
i patrzeć w wasze oblicze,
jak ongi, za pierwszym razem,
w oblicze nieznajomego.
Albowiem jednej tylko rosy pragną
moje wyschnięte powieki —
mieć znów przed sobą cudowne zjawisko
tego pierwszego spojrzenia i znowu
czuć, że jej łaska powraca,
jak nieraz we śnie czuła, że się zbliża
jutrznia poranna —
czuć, że się dla niej kryje ukojenie
w cieni świeżego wieńca — — —

PAOLO. W tym fiołkowym wieńcu
widziałem was wczoraj na łące,
gdzie, wyprzedziwszy mą świtę,
spocząłem, żądny samotni.
Słyszałem tylko dzwonienie
rzędu mojego wierzchowca,
który się pasł na murawie; widziałem
poprzez zagajnik wieżyce Maldoli.

Wami rozbrzmiewał
w blaskach poranku
wszystek świat wokrąg. Widziałem was w fiołkach,
i z wargi waszej popłynęły słowa:
„wielce-ć przebaczam, boś wielce ukochał".

FRANCZESKA. Tak, powiedziane były te wyrazy,
i wielka spłynęła z nich radość...

(Wzrok Paola błądzi po komnacie.)

FRANCZESKA. Nie rozpatrujcie się w rzeczach umarłych,
co się wydają radością,
a są-li wstydem i bolem.
Nie zwarzy ich jesień
i nie odświeży ich wiosna!
Patrzcie na morze, na morze,
które wraz z Bogiem dawało świadectwo
słowom wielkim, jaśniejącym
poza obrębem bitwy,
poza granicą dzikiego rozkrzyku,
a jeden z żagli płynął,
sam z swoją płynął dolą —
czyście widzieli? I wówczas
straszną przeszliśmy próbę.
Siądźcie przy oknie;
a nie uzbrojon, by mordować ludzi,
lecz bez srogości weźcie dziś, Paolo,

weźcie tę wiązkę
wasilkowego ziela.

(Wyrywa z wazonu krzew wasilkowego ziela i daje Paolowi, który zbliżając się do niej, potknął się o zawiasy drzwi zapadnych.)

FRANCZESKA. Potknęliście się o pierścieniec wrótni,
które do dolnej prowadzą komnaty.

(PAOLO nachyla się nieco, ażeby zobaczyć, o co się potknął.)

FRANCZESKA podając mu ziele.
Weźcie to ziele... Powąchajcie... Pachnie.
Zasadziła je Smaragdi w tej wazie
k'pamięci swego ojczystego Cypru,
a podlewając je, śpiewa:
„Tobie ja ścielę
to wasilkowe krzewie, —
śpij sobie na niem,
zrywaj, gdy zechcesz,
chłoń jego wonie
ach i pamiętaj o mnie!"
Ponoć w Florencyi każda z pań ma w oknie
kwiat wasilkowy: Czy to prawda? Może
opowiecie mi coś o waszem życiu?
Usiądźcie tutaj. Mówcie mi o sobie.
Jakeście żyli?

PAOLO. Dlaczego
mam znów odświeżać w sercu

nędzę mojego życia?
Bolem mi było i smutkiem
to, co dla innych bywało rozkoszą.
Bywałem w domu słynnego śpiewaka —
zwie się Casella —
gdzie się gromadzą znakomici mężе —
między innymi Gwido Cavalcanti,
jeden z najpierwszych rycerzy, lubiący
przemawiać w rymach, i messer Brunetto,
uczony mowca,
który powrócił z Paryża,
i pewien młodzian
z Alighierich, nazywa się Dante.
Szczególnie drogim stał mi się ten młodzian,
bo pełen był myśli
i o miłości i bolu i cały płonął,
słyszący śpiewanie.
I nieraz
do mego serca, co zawsze zamknięte,
niespodziewana płynęła zeń rozkosz,
albowiem śpiew przeuroczy
sprawiał, że nieraz cicho się rozpłakał
i ja, to widząc, płakałem z nim razem.

(Oczy Franczeski napełniają się łzami, głos jej drży.)

FRANCZESKA. Co? płakaliście?

PAOLO. Franczesko! Franczesko!

FRANCZESKA. Wyście płakali? Paolo, niech będzie
błogosławiony ten, co was nauczył
płakać! Paolo, o spokój dla niego
modlić się będę.
Znowu was widzę, słodki przyjacielu,
takim, jak ongi!
Łaska spłynęła na moje powieki.

(Jakby przemieniona z wielkiej radości, łagodnym ruchem zdejmuje wianek z głowy i kładzie go na znajdującą się obok otwartą księgę.)

PAOLO. Dlaczego wianek zdejmujecie z głowy?

FRANCZESKA. Bom nie dostała go od was, jak wyście
dostali ongi odemnie
różę ze sarkofagu.
Uczułam,
że już fiołki nieświeże.

(PAOLO wstaje, zbliża się do pulpitu i dotyka się fiołków.)

PAOLO. Prawda. Pomnicie? Owego wieczora
w krwi skąpanego i ogniu, chcieliście
mieć w podarunku odemnie
jaki hełm piękny. Dałem wam z wybornej
wykuty stali.
A stal i złoto nie więdną, jak kwiaty.
Lecz wyście hełm ten wypuścili z ręki.
Czy pamiętacie?
Ja go podniosłem. I od tego czasu

we czci go miałem
niby królewską koronę.
Gdy wkładam go sobie na skronie,
czuję, jak we mnie wyrasta potęga
i jak w mej głowie żadna się nie rodzi
myśl, co niebyłaby z ognia.

(Nachyla się nad księgą.)

Jakież to słowa spotkały me oczy!
„I większe na was spłynęły bogactwa,
niżeli świata całego dziedzictwo."
Cóż to za książka?

FRANCZESKA. Przedawna opowieść
o Lancelocie z Jeziora.

(FRANCZESKA wstaje i zbliża się do pulpitu.)

PAOLO. Jużeście
ją przeczytali?

FRANCZESKA. Nie, doszłam w czytaniu
do tego miejsca.

PAOLO. Tu, do tego znaku?

(Czyta:)

„Nie chce niczego odemnie..." Czytajcie
dalej.

FRANCZESKA. Spojrzyjcie na lśniące to morze!

PAOLO. Jednę, Franczesko, przeczytajcie stronę.

FRANCZESKA. Patrzcie, to stado jaskółek,
cień rzucające na to morze lśniste!

PAOLO. Czytajmy, Franczesko.

FRANCZESKA. I jak się żagiel ten pali,
jak gdyby w ogniu!

PAOLO czyta. „O zapewne, pani! —
rzekł Galeotto — on się nie ośmieli
i bojaźliwym będąc, żadnej od was
nie będzie żądał miłosnej przysługi,
ale ja błagam za niego, a choćbym
nawet nie błagał, to wybyście sama
z własnej musiała pofolgować woli,
gdyż bogatszego nie znajdziecie skarbu.
A ona rzekła — — —“

(PAOLO bierze Franczeskę za rękę i lekko ją ciągnie ku sobie.)

Teraz wy czytajcie,
co mu odrzekła. Jesteście Ginewrą.
Czujecie, jak pachną
fiołki,
rzucone przez was? Czytajcie! czytajcie!

(Skronie ich zbliżają się ku sobie, nachylili się nad książką.)

FRANCZESKA czyta. A ona rzekła: Wiem-ci o tem dobrze
i tak uczynię, jak mi rozkażecie.

I Galeotto odpowiedział: dzięki!
Pragnę was prosić, abyście go swoją
obdarowali miłością".

(Przerywa.)

PAOLO. Czytajcie dalej.

FRANCZESKA. Nie, już słów nie widzę.

PAOLO. Czytajcie dalej... „Zapewne...

FRANCZESKA. Zapewne
przyobiecuję wam i to — odpowie —;
tylko niech do mnie należy już cały,
tak jak ja cała należę do niego.
I niechaj będą wymazane wszystkie,
wszystkie przewiny..." Dosyć już, Paolo.

PAOLO czyta głosem złamanym i drżącym.
„Dzięki wam, pani, dzięki — odpowiedział. —
Pocałujcie go teraz w moich oczach
na znak poczęcia prawdziwej miłości..."
Teraz, co rzekła ona — tak, co ona
odrzekła teraz — o, tutaj, w tem miejscu...

(Blade ich twarze tak się nachyliły nad książką, że ich policzki prawie dotykają się wzajemnie.)

FRANCZESKA czyta.
— — odrzekła: przecz ja mam się dawać prosić,
gdy pragnę tego, jak i wy — —"

PAOLO czyta dalej głosem stłumionym. I zasię
odeszli na bok i ona-ć królowa
ujrzy rycerza, iże nic go więcej
już nie rozpala, prócz żądzy całunku. —
i wraz ująwszy go za brodę, długi
na uściech jego złożyła całunek."

(PAOLO czyni tak samo z Franczeską i całuje ją. A gdy się usta ich rozeszły, FRANCZESKA chwieje się na nogach i pada na łoże.)

PAOLO. Franczesko!

FRANCZESKA gasnącym głosem: Paolo!

ZASŁONA.

AKT CZWARTY

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia salę ośmioboczną o ścianach z szarego kamienia, z których pięć znajduje się wprost widowni. W górze głazy, ozdobione freskiem, przedstawiającym jednorożców w złotem polu. W głębi, w ścianie widać wielkie oszklone okno z widokiem na góry. W wnętrzu okna stoi krzesło. W drugiej ścianie, zbiegającej się z poprzednią pod kątem krzywym, widać, po prawej, drzwi żelazne, prowadzące do lochów. Pod ścianą przeciwległą, po prawej, ławka z wysoką poręczą, przed nią długi a wązki stół z jedzeniem i winem. W dwóch następnych ścianach znajdują się drzwi; jedne z nich, po lewej, tuż przy stole, prowadzą do komnaty Franczeski; drzwi z prawej wychodzą na krużganek i schody. Naokoło ścian żelazne pochodnie. Na listwach pozawieszane kołczany, łuki, pasy i rozmaite gatunki broni; o ścianę oparte włócznie, oszczepy, dzidy, lance, topory, proce.

SCENA PIERWSZA.

FRANCZESKA siedzi w wnętrzu okna, przed nią stoi MALATESTINO-JEDNOOKI.

FRANCZESKA. Oprawcą jesteś, tak, Malatestino.
Kołyskę twoją wyciosano, widać,

z starego bloku toporem, co na nim
ściął był niejedną głowę.

MALATESTINO śmiejąc się kurczowo. Bratowo,
macie-li strach przedemną?
Bardziej do smaku jest wam ten, którego
miętka kołyska zawieszoną była
na łęku dźwięczącej lutni?

FRANCZESKA. Krwiożercze z ciebie chłopię,
wywierające zemstę na sokole.
Czemuś go zabił, chociaż był ci drogi?

MALATESTINO. Z sprawiedliwości!
Wypuściłem go na żórawie; ptak ten
wzbił się do góry; ponad nim
uleciał sokół i ujrzał pod sobą
młodego orła: rzucił się na niego
i tak go przybił do ziemi, tak przygniótł,
aż go i zdusił.
Myśląc, że żóraw, pobiegłem
i zobaczyłem orła.
Zamordowałem sokoła
za to, że zabił swego władcę.

FRANCZESKA. Jesteś szalony!

MALATESTINO. Ubił swego władcę —
więc sprawiedliwość się stała.

FRANCZESKA. Nie, to złośliwe
było szaleństwo, tak, Malatestino!

MALATESTINO. Szaleniec chodzi ze swojem szaleństwem
— trwa to czas jakiś, ale nie nazawsze.

FRANCZESKA. Czemuś tak dziwny?
Łakomy jesteś wszelkiej krwie i ciągle
czyhasz, każdemu wróg!
W każdem twem słowie
kryje się ciemna groźba.
Jak dziki zwierz, mordujący
ktokolwiek zbliży się k'tobie.
Skąd ty się wziąłeś? Matka
czyż nie karmiła cię mlekiem?
A jesteś takie chłopię!
Ledwie mech pierwszy widać ci na licu.

MALATESTINO z gwałtownym wybuchem.
Drażnisz mnie, bratowo!
Tak, myśl o tobie drażni ustawicznie
mojego ducha — tyś jest
przyczyną mojej złości!

(FRANCZESKA wstaje i chroni się w zagłębieniu okna, jak gdyby chciała ujść zasadzki. Opiera się o ścianę, na której błyszczą poustawiane oszczepy.)

FRANCZESKA. Malatestino, strzeż się! brat twój przyjdzie!
Nie masz-li wstydu?

MALATESTINO postępując za nią. Jak łuk mnie naciągasz,
który na jedną godzinę
strzela po tysiąc razy
i trafia jak najdalej.
Straszliwa jest twa ręka,
władnąca moją mocą
i rzucająca ją przeciw wszystkiemu,
cokolwiek żywie; uciekam,
a ty mnie gonisz!
Jak mgła, tak mnie znienacka
otulasz w swoje kłęby,
gdziekolwiek jestem — w polu,
na drogach i śród skał,
gdy ruszam na nieprzyjaciół.
Tobą oddycham w tumanach
burzy. Ten obłok, co z ziemi
wynosi się stratowanej,
twoją przybiera postać;
szalonem tętnisz życiem
i cała się rozwiewasz
pod kopytami zdyszanych rumaków,
śród śladów kopyt, napełnionych krwią!
Teraz cię mam już! mam już!

(FRANCZESKA cofa się wzdłuż ścian i dochodzi do żelaznych drzwi, ku którym obraca się tyłem.)

FRANCZESKA. Nie tykać mi się, szaleńcze, lub zaraz
zawołam brata! Odejdź!... Mam nad tobą

litość! Pacholę jesteś!
Odejdź, jeżeli nie chcesz,
by cię ukarał.
Zepsute jesteś chłopię!

MALATESTINO. Kogo chcesz wołać?

FRANCZESKA. Brata!

MALATESTINO. Którego?

(FRANCZESKA drży, usłyszawszy jęki, wydobywające się z lochów przez drzwi, o które się była oparła.)

FRANCZESKA. Któż to tam jęczy? Słyszałeś?

MALATESTINO. Ktoś, co ma umrzeć.

FRANCZESKA. Montagna
dei Parcitadi.

(Ponowny jęk dobywa się z podziemi.)

MALATESTINO. I ja ci mówię: strzeż się!
Strzeż się, Franczesko! Dziś jeszcze
wypowiesz wyrok na siebie.

FRANCZESKA. Nie mogę słuchać; jęczy, co noc jęczy —
jak wilk, tak wyje — —
Do mej komnaty jęk się ten przedziera.
Coś mu uczynił?
Czyś wziąć go kazał na tortury?

MALATESTINO. Posłuchaj! Giovanni
jedzie wieczorem na swą podesteryę
w Pesaro: widzę, żeś mu w drogę
przygotowała jedzenie.

(Wskazuje na stół.)

Posłuchaj —
ja mogę dać mu strawę nieco lepszą.

FRANCZESKA. Co ty zamierzasz?

MALATESTINO. Racz popatrzeć na mnie —
i jednem okiem widzę bardzo dobrze.

FRANCZESKA. Co ty zamierzasz? Grozisz mi? Lub knujesz
zdradę przeciwko rodzonemu bratu?

MALATESTINO. Zdradę! Myślałem,
moja bratowo, że wargi twe spłoną
na taki wyraz, lecz widzę,
że są nietknięte, a tylko
nieco pobladłe... Snać mój sąd był mylny.
Mówiłem nieprzytomnie —
ale raz jeszcze powiadam...

(Słychać ponowny jęk z więzienia.)

FRANCZESKA drżąc z przestrachu. Jak jęczy!
Ach! jak on jęczy? Któż go tak katuje?
Jakąś ty nową
wymyślił dla niego mękę?

Czyś zamurował go żywcem? Czyż będzie
jęczał tak całe życie?
Idź! niech przestanie coprędzej!
Uwolnij go z tych tortur!
Nie mogę już słuchać tych jęków!

MALATESTINO. Idę, już idę! Sprawię, byście mieli
tę jedną noc spokojną,
sen jak najgłębszy, bez strachu —
albowiem sama spać będziecie w noc tę,
gdyż Giovanni udaje się w drogę,
dziś, do Pesaro.

(Podchodzi ku ścianie i z pośród broni wybiera sobie topór.)

FRANCZESKA. Co zamierzasz czynić?

MALATESTINO. Uczynię kata ze siebie,
stosownie do waszej woli,
moja bratowo!

(Bada ostrze topora, otwiera potem żelazne drzwi, poprzez które głęboką widać ciemnię.)

FRANCZESKA. Czy może
idziesz mordować? Zbyt długo
czekałeś na to, oprawco!
Od tego wieczora,
gdym opatrzyła cię sama,
a ty szalałeś przeciw rodzonemu
ojcu! Dziś jeszcze słyszę cię! Wszak gryzłeś

rękę, co niosła-ć lekarstwo, co ciebie
pielęgnowała, gdyś był chory, rękę,
co ci koiła ból! A! niech przeklęta
będzie ta chwila, gdym się nachyliła
nad twem posłaniem, aby cię pocieszyć.

MALATESTINO. Franczesko! Franczesko!
Słuchaj! jak pewną
śmierć jest w tem ostrzu broni, którą teraz
trzymam w mym ręku, tak pewnem jest życie
w tem słowie, które dziś jeszcze
mogłabyś wypowiedzieć —
życie o żyłach, pełnych krwi — czy słyszysz? —
życie z wichurą i z dniami zwycięstwa.

(FRANCZESKA odpowiada powoli, głosem spokojnym, jak gdyby odrazu wolna od lęku i przerażenia.)

FRANCZESKA. Jakież to słowo? I któż wypowiedzieć
mógłby to słowo?
Wszak-ci ty żyjesz krzykiem,
kiedy ja żyję-li ciszą! Ten więzień
nie tak daleki i samotny,
jak ty samotnym jesteś i dalekim,
biedny oprawco, pijany razami,
które zadajesz, i jękiem.
Los zawsze jest milczący.

MALATESTINO. Ach! gdybyś mogła popatrzeć w oblicze

losu, co zawisł nad człekiem!
Wewnątrz mej głowy zwija się kłąb myśli —
nagromadzone gromy,
które uderzyć mają. —
Słuchaj! o słuchaj! oby twoja ręka
raz jeszcze dotknęła mojej!
Obym mógł widzieć twe włosy
raz jeszcze nachylone
nad mą gorączką, i — — —

(Słychać przeciągły jęk w podziemiu.)

FRANCZESKA. Strasznie!
Strasznie!

(Cofa się w głąb okna, siada z łokciami, wspartymi na kolanach, głowę ukrywszy w dłoniach.)

MALATESTINO chytrze. To na was spadnie!

(Wyciąga pochodnię z obręczy, kładzie topór na ziemię, bierze krzesiwo, dobywa ognia, zapala pochodnię, mówiąc:)

Idę! już więcej słyszeć nie będziecie.
Chcę, byście mieli
nockę spokojną i sen przegłęboki.
I mego ojca także uspokoję,
lęka się bowiem wciąż, że uciec może!
A Giovanni godny mu przywiezie
okup, jadący przez Gradarę.
Tak! dobry wieczór, bratowo!

(FRANCZESKA siedzi bez ruchu, jak gdyby nic nie słyszała. MALATESTINO bierze topór i z zapaloną pochodnią w lewej, kocim krokiem kieruje się w głąb podziemi. Znika. Drzwi zostawia otwarte. Franczeska wstaje i widzi, jak ostatnie błyski giną w ciemnościach. Nagle podchodzi ku drzwiom i zamyka je z przestrachem. Drzwi żelazne zaskrzypiały w ciszy. Franczeska odwraca się, z głową pochyloną postępuje kilka kroków naprzód, jak gdyby wielki przygniatał ją ciężar.)

FRANCZESKA pocichu, w zadumie. Sen przegłęboki!

SCENA DRUGA.

Poprzez wielką bramę słychać szorstko głos Gianciotta. FRANCZESKA nagle się zatrzymuje.

GIANCIOTTO. Panu Paolo powiedz, memu bratu,
że za godzinę jadę do Pesaro
wierzchem
i że go czekam.

(Wchodzi KULAWIEC, cały w zbroi. Spostrzega małżonkę i podchodzi ku niej.)

GIANCIOTTO. Droga małżonko! czekaliście na mnie?
Czemu tak drżycie? Czemu taka blada?

(Bierze ją za rękę.)

Zimna jesteście, jakby z przerażenia.
Przecz?

FRANCZESKA. Malatestino
był tu przed chwilą i posłyszał jęki
więźnia, co w lochach

od dni już kilku jęczy przeokropnie.
Widząc, że mnie to przeraża,
w złość popadł nagłą i uzbrojon w topór,
przez drzwi te zeszedł do kaźni,
aby go zabić przeciw woli ojca,
który mu wielce zawadza. O, srogi
jest, panie mężu, i krwiożerczy
i mnie nie kocha.

GIANCIOTTO. Przestańcie już bać się,
moja małżonko! Gdzież wasza odwaga?
Mężną byliście w bitwie,
spoglądaliście, jak nasi stronnicy
padali z szyją przebitą; śmiejąco
wywijaliście greckim ogniem w ręku.
Czyż wam zależy tak na życiu wroga?
Tak was przestrasza jęk i ostry topór?

FRANCZESKA. Godnie jest walczyć w bitwie,
lecz wstręt mi czyni skrytobójstwo!

GIANCIOTTO. Obmierzło mu już tak długo być stróżem,
czekać daremnie na okup, którego
zapłacić nie chce stary Parcitada,
ten brudny, stary skąpiec,
co, uciekając, zabrał także z sobą
przeróżne przywileje
i prawa gminy rimińskiej. Dlaczego
mówicie, że was nie kocha?

FRANCZESKA. Nie wiem, tak mi się zdaje.

GIANCIOTTO. Czy może źle się zachował?

FRANCZESKA. Chłopię to jeszcze; i jak młody brytan
pragnąłby tylko kąsać.
Panie małżonku! chodźcie się posilić,
nim dosiędziecie wierzchowca.

GIANCIOTTO. Może Malatestino — — —

FRANCZESKA. Daj Wasza Miłość temu spokój. — —
Mówiłam od niechcenia.
„Serce ze stali i sucha wątroba" —
pamiętam wasze te słowa i noc tę,
gdyście je powiedzieli.
On kocha swego wierzchowca,
dopóki się nie schwaci,
kocha swój szyszak, pokąd niezużyty...
Nie chcę was, panie, zaprzątać skargami.
Ma się ku wieczorowi,
trzeba się wam posilić.
Czy pojedziecie wybrzeżem?

(GIANCIOTTO zamyślony idzie za Franczeską ku stołowi, zastawionemu jedzeniem. Zdejmuje szyszak, odpina kołnierz stalowy i podaje Franczesce, która to wszystko z niespodziewaną składa gracyą na jednej z ławek.)

FRANCZESKA. Będziecie mieli w drodze chłód przyjemny.
Przemiłą będzie noc wrześniowa.

Księżyc się zjawi około północy.
Kiedy będziecie w Pesaro,
panie Podesto?

GIANCIOTTO. Rano około trzeciej.
Będę się musiał zatrzymać na popas
u mego ojca w Gradarze.

(Odpina sobie pas, na którym wisi miecz i podaje go żonie.)

FRANCZESKA. A Wasza Miłość jak długo zabawi
w drodze?

(Z lochów dobywa się straszliwy jęk Montagni. FRANCZESKA drży i z rąk wypuszcza miecz, który wypada z pochwy.)

GIANCIOTTO. Stało się! Nie drżyj, moja żono!
Będzie już cisza. Oby Bóg tak wszystkie
pościnał głowy naszych nieprzyjaciół!
Wicher już teraz przestanie rozsiewać
wraże nasienie pomiędzy
głazy rimińskie. I w całej Romanii
oby ich zniszczył Bóg w tym roku krwawym,
jeżeli taka jego wola —
a wówczas pierwsze święto wielkanocy
będą gwelfowie z Calboli święcili
krwią ghibellińską
Aldobrandynów degli Argogliosi.

(Nachyla się, aby podnieść miecz, co wypadł z pochwy.)

Zmarł papież Marcin i król Karol przed nim

poszedł do raju. Złe dla nas!
A zasię Pietro di Stefano, który
w Honoryuszu dał nam wielkorządcę,
nie jest przyjaciel nasz,
ni Polentanów, ni waszego ojca,
Franczesko! Rękę w pogotowiu
trzeba na mieczu trzymać wyostrzonym.

(Czyni ruch nagim mieczem, który trzyma w ręku, przygląda się rękojeści i potem chowa go do pochew.)

Ten mi się nie ugnie!

(Chowa miecz do pochew.)

FRANCZESKA. Daj mi go, panie!
Już go raz drugi nie upuszczę.
A teraz siądźcie, posilcie się w drogę.

(GIANCIOTTO daje miecz Franczesce i siada na ławie przy stole.)

GIANCIOTTO. Oto, moja żono,
ciągle o wojnie wam prawię, a dotąd
nigdy wam kwiatka nie dałem. Ach! twardzi,
twardzi jesteśmy. Do rąk waszych białych
dałem wam szyszak i miecz,
Malatestino zdobył się przynajmniej
na sokolika, Paolo
da wam zapewne kwiaty.
Jako naczelnik florenckiego ludu
w wszelkiej się wprawił dworności,
tylko że stracił nad brzegami Arna

swoją tężyznę, woli wypoczynek,
niźli trudy. Czas trawi codziennie
z swymi grajkami.

(Łamie chleb, nalewa sobie wina, podczas gdy FRANCZESKA siada naprzeciw niego, przy stole, brodę oparłszy na głowni miecza.)

Lecz i wy, Franczesko,
wielce lubicie muzykę w komnacie.
Czyż towarzyszki wasze nigdy się nie znużą
ciągłem śpiewaniem? Głos ich
powinien był zagłuszyć
jęk Parcitady. Wrychle
zmienicie twierdzę Malatestów
w gaj, pełen słowików.

(Je i pije.)

FRANCZESKA. Ja i moja siostra
Samarytana wyrosłyśmy w domu,
w naszej Rawennie, śród śpiewu.
Gardło ze złota miała nasza matka.
Już od najpierwszej młodości
Krzepiła nam dusze muzyką,
jak woda z zdroju krzepi trawy.
I matka nasza mawiała:
„Słodkie śpiewanie broni nas od licha".

GIANCIOTTO. Zaś moja matka mawiała:
„A wiesz ty, jaka niewiasta najlepsza?
Ta, która przędząc myśli o kądzieli,

ta, która przędzie równo i bez węzłów,
ta, która przędząc, przędzy z rąk nie puści,
co przędzę równo owija na motek,
co wie, czy kądziel próżna jest czy pełna".

FRANCZESKA. Czemuście sobie, nie wybrali, panie,
takiej niewiasty na żonę?

(Słychać pukanie do drzwi żelaznych. FRANCZESKA zrywa się na równe nogi, rzuca miecz na stół i chce uciekać.)

Wraca Malatestino.
Nie chcę go widzieć! nie chcę!

GŁOS MALATESTINA. Któż to mi zawarł dźwierze?
Wyście, bratowo, zamknęli?

(Uderza nogą w drzwi.)

GIANCIOTTO. Czekaj, poczekaj, otworzę!

GŁOS MALATESTINA. Ach! Giovanni! otwieraj!
Dojrzały owoc niosę ci na drogę.
Figę wrześniową.
Bardzo jest ważka!

(KULAWIEC idzie otwierać. FRANCZESKA przez kilka chwil podąża oczami za jego kulejącym krokiem, potem wraca się ku drzwiom, prowadzącym do jej komnaty. Exit.)

GŁOS MALATESTINA. Spiesz się!

GIANCIOTTO. Już idę!

SCENA TRZECIA.

GIANCIOTTO otwiera drzwi; na wązkim progu zjawia się MALATESTINO, trzymający w lewej ręce zapaloną pochodnię, w prawej zaś na pętlicy głowę Montagni, zawiniętą w chustę.

MALATESTINO podaje bratu pochodnię.
Masz to, braciszku, zagaś!

(GIANCIOTTO przydeptuje pochodnię i gasi.)

MALATESTINO. Była z tobą
twa żona?

GIANCIOTTO szorstko. Była.
Czego chcesz od niej?

MALATESTINO. A zatem wiadomo-ć,
jaki ci owoc przynoszę.

GIANCIOTTO. A ojca
miałeś odwagę nie słuchać?

MALATESTINO. Patrz ino,
jaka jest ciężka! Spojrzyj!

(Podaje pętlicę Kulawcowi, który ją bierze i waży w ręku, a potem puszcza na ziemię. Głowa z głuchym pada łoskotem na ziemię.)

Tobie ją daję. Głowa
Montagni dei Parcitadi. Bierz ją,
przytrocz do siodła,
a przejeżdżając przez Gradarę, daj ją

wielkomożnemu ojcu i tak powiedz:
„Malatestino posyła ten zastaw,
byście nie mieli wątpienia
o jego bystrej czujności.
To was upewni, że więzień nie zemknie.
A za to
skarogniadego dacie mu wierzchowca,
tego z gwiazdkami na trzech nogach — dawno
obiecaliście mu ten podarunek,
przytem i siodło wysadzane złotem".
Co za gorąco!

(Pot ociera z czoła. GIANCIOTTO siada ponownie do stołu.)

Mówię ci, gdy ujrzał
płomień pochodni, jął sapać, jak rumak,
kiedy się stracha. Daj mi pić!

(Jednym haustem wypija pełną czarę. GIANCIOTTO siedzi ponury, żuje w milczeniu, nie mogąc połknąć jadła, jak byk przeżuwający. Morderca zajmuje miejsce, na którem siedziała Franczeska.)

(Skrwawiony tłumok bezwładnie leży na ziemi. Przez wielkie okno widać słońce, zachodzące za Apeninami; w blaskach jego złocą się szczyty i obłoki.)

Zły jesteś?
Czy może chciałeś, abyśmy czekali
jaki rok jeszcze na okup
Perdecittady? Mówię-ć, że daremnie
byłoby czekać; a to jest tak pewnem,
jak to, że dukat jest żółty.
Od dnia dzisiejszego
Malatestowie nie będą litości

mieli nad nikim,
dopokąd starczy im kłów!
Wszakże-ć to niema jeszcze dwóch miesięcy,
kiedy w Cesenie ojciec nasz — rzecz dziwna —
nie ściągnął skóry z wrażych szpon Konrada
da Montefeltro, a i Filipuccio,
bękart, dotychczas jeszcze żyw!
Niech będzie pochwalon
brat Alberigo,
gdyż umie jednym zamachem
ścinać i pień i latorośl.
Czas już, by każdy ghibellin
był takim dla nas owocem,
jak oto dzisiaj kawaler Godente.

(Bierze miecz, leżący na stole i dłonią uderza w pochew.)

Ten-ci jest owoc na każdą biesiadę
spokoju i zgody.
Nie gniewaj się na mnie,
mój Giovanni! Wierny-ć jestem,
Ty się nazywasz Jan Kulawiec,
a ja się zowię Jednooki.

(Milczy chwilę, potem złośliwie:)

Za to Paolo zwie się Piękny.

(GIANCIOTTO podnosi głowę i wzrok zatapia w oblicze młodzieńca. Śród ciszy słychać brzęk ostróg, któremi Gianciotto uderza w posadzkę.)

GIANCIOTTO. I ty się, widzę, stałeś gadatliwy.

(MALATESTINO chce sobie jeszcze nalać wina. Brat trzyma go silnie za puls.)

GIANCIOTTO. Nie pij już więcej! Odpowiadaj, cóżeś
zrobił Franczesce? powiedz,
czemś ją obraził?

MALATESTINO. Ja? Czy to ona ci mówiła?

GIANCIOTTO. Coś mi się mienisz na twarzy.

MALATESTINO. Co ci mówiła?

GIANCIOTTO. Odpowiadaj!

MALATESTINO z udanym uśmiechem. Nie mogę odpowiedzieć.

GIANCIOTTO. Cóż ty znów knujesz przeciw niej? Odpowiedz!

MALATESTINO nagle ożywiony, z błyskiem w kłującej źrenicy.
Ona-ć mówiła i, mówiąc, nie miała
zmienionej twarzy?

GIANCIOTTO. Strzeż się, Malatestino!
Popatrz mi prosto w oczy!
Jam-ci kulawy, ale zawsze prosto
idę przed siebie. Ty zasię
krzywemi chodzisz drogami
i usiłujesz tłumić odgłos kroków.
Strzeż się, bo cię pochwycę
i nie wywiniesz mi się!

A teraz to jedno-ć mówię:
„biada, kto chciałby dotknąć mojej żony!“
Wiesz o tem dobrze, boś sam tego dożył,
że więcej upływa czasu
pomiędzy spięciem ostrogą
berberyjskiego ogiera
a jego staniem dęba,
niż między słowem mem a moim czynem.
Rozważ to sobie!

MALATESTINO głosem przyciszonym i z spuszczoną powieką.
A jeśli z gniewem ujrzy brat, że inny
dotyka żony jego brata, jeśli
uczyni wszystko, by zapobiedz hańbie,
mów, czy jest winien?
I jeśli potem oskarżą go jeszcze,
że złe zamiary knuje przeciw żonie,
mów, żali słuszne jest to oskarżenie?

(GIANCIOTTO zrywa się przeraźliwie i ściska pięść, jak gdyby chciał ubić młodzieńca. Wnet się jednak powstrzymuje i opuszcza ręce.)

GIANCIOTTO. Malatestino! na katusze piekieł!
Jeżeli nie chcesz, ażebym to drugie
wyrwał ci oko, przez które twa chytra,
podstępna dusza jeszcze świat obraża,
tak odpowiadaj! mów, coś widział?

(MALATESTINO wstaje i cichym kocim krokiem podchodzi ku drzwiom w pobliżu stołu. Stoi przez kilka chwil, nadsłuchując, potem nagłym

ruchem otwiera drzwi i patrzy. Nie widać nikogo. Wraca i siada znów naprzeciw brata.)

GIANCIOTTO. Gadaj!

MALATESTINO. Tylko bez groźby! Nie boję się ciebie!
Wiedz o tem, bracie:
iżem nie nosił przyłbicy,
tak jestem ślepy,
ty zasię w domu swym nosisz
przyłbicę z nausznicami,
zakrywającą i oczy i brodę,
i nic nie widzisz, nic! W twój mózg z żelaza
nie wpije żadne się ostrze podejrzeń.

GIANCIOTTO. Bez paplaniny! do rzeczy! do rzeczy!
Gadaj, coś widział! Wymień mi nazwisko!

MALATESTINO. Zali ci nie jest dziwnem,
że ktoś, kto w grudniu wyjechał, odrazu,
niespodziewanie porzuca swój urząd
i wraca do nas już w lutym?

(Słychać trzeszczenie srebrnego puhara, który Gianciotto łamie w rękach.)

GIANCIOTTO. Paolo!?
Nie! nie! to nie on!

(Zrywa się na równe nogi i oddala od stołu, chodzi po komnacie ponury, ze wzrokiem zamglonym. Przypadkiem potrąca chustę z głową Montagni. Zbliża się do wielkiego okna, skąpanego w odblaskach posępnego zachodu.

Siada na krześle i chwyta się za głowę, jakby chciał myśli w jedno skupić ognisko. MALATESTINO bawi się tymczasem mieczem, nawpół wyciągnąwszy go z pochwy. Potem go znowu wsuwa napowrót.)

GIANCIOTTO. Chodź Malatestino!

(Młodzieniec zbliża się lekko i szybko bez hałasu, jakby miał nogi z filcu. GIANCIOTTO trzyma go obiemi rękoma, wciska między swe zbrojne kolana i mówi z nim oddech na oddech.)

GIANCIOTTO. Czy jesteś pewny? widziałeś?

MALATESTINO. Tak!

GIANCIOTTO. Co? i kiedy?

MALATESTINO. Wchodził kilkakrotnie.

GIANCIOTTO. Wchodził — gdzie wchodził?

MALATESTINO. Wchodził do komnaty.

GIANCIOTTO. Co więcej? Nic to! Wszak-ci to bratowa.
Wchodzić ma prawo. Zresztą są z nią razem
jej towarzyszki. Widziałeś,
jak przyprowadzał grajków...

MALATESTINO. W nocy... Daj spokój! Nie ściskaj! Na Boga!
Zelazne masz golenia!
Puść mnie!
(Zwinnie uwalnia się od niego.)

GIANCIOTTO. Czym dobrze słyszał?
Mówiłeś — — powtórz!

MALATESTINO. W nocy!
Tak! tak! widziałem... w nocy!

GIANCIOTTO. Żebra ci zgruchocę,
jeżeli kłamiesz!

MALATESTINO. Przychodził w nocy, powracał o świcie!
Tyś wtedy ruszył był na Urbinatów.

GIANCIOTTO. Na proch cię zetrę, gdy kłamiesz!

MALATESTINO. Mam ci pokazać naocznie?

GIANCIOTTO. Pokaż, jeżeli nie chcesz
paść w mych śmiertelnych uściskach.

MALATESTINO. Czy chcesz tej nocy?

GIANCIOTTO. Chcę!

MALATESTINO. A będziesz umiał udawać?
Będziesz się umiał uśmiechać?
Ty się na uśmiech nie zdobędziesz.

GIANCIOTTO. Zemsta nauczy uśmiechu,
gdy nie nauczyło szczęście!

MALATESTINO. A będziesz umiał całować
i ją i jego, nie gryząc?

GIANCIOTTO. Tak! będę umiał, bo pomyślę sobie,
że już umarli!

MALATESTINO. W uściskach trzymać ją musisz,
rozmawiać z nimi i nie drżeć.

GIANCIOTTO. Bawisz się moją katuszą! O, strzeż się,
ból ma dwa ostrza!

MALATESTINO. Na Boga!
Puść mnie! nie ściskaj!

GIANCIOTTO. Dobrze! — Więc powiedz,
jakie masz plany? prędko!

MALATESTINO. Będziesz się musiał pożegnać
z nimi i dosiąść wierzchowca i z całą
wyjechać świtą bramą San Genesio
w kierunku do Pesaro.
Ja na koń siądę wraz z tobą.
Powiedz, żeś zgniewał się na mnie
za oną głowę Montagni, że musisz
pojechać ze mną do Gradary,
stawić przed ojca, aby mnie ukarał
albo przebaczył. W ten sposób
będą myśleli, że zostaną sami.
Potem, w noc późną,
pozostawimy swych ludzi, my zasię
wrócimy w miasto bramą gattolańską,
nim jeszcze wzejdzie miesiąc.
Damy znak Riziemu.
Ja się z tem sprawię, a ty najszybszego

dosiądź bieguna i weź też ze sobą
płatów sukiennych, może będzie trzeba
owinąć niemi kopyta,
bo wiesz, że nocą
drogi wydają echo
i że kamienie, mój bracie,
umieją zdradzać.

GIANCIOTTO. Zobaczę.
Pewnym-li jesteś, że ich schwycę?

MALATESTINO. Przestań,
przestań mnie ściskać! Mam też
na myśli niewolnicę —
tę z Cypru, ona to właśnie
spełnia tu służbę rajfurki.
Chytra i sprawna jest w czarach.
Widzę ją nieraz, jak węszy.
Schwycę ją w sidła i uduszę...
To moje sprawy... Ty zaś,
nie myśl o niczem, dopóki
nie staniesz we drzwiach!

GIANCIOTTO. Na twą głowę! powiedz,
czy uda mi się ich pochwycić?

MALATESTINO. Puść mnie!
Puść mnie, na Boga! Nie mnie ci tak dusić!

(Przez drzwi z prawej słychać głos PAOLA.)

GŁOS PAOLA. Tyś — Giovanni?

(KULAWIEC puszcza Malatestina i, ogromnie pobladły, staje na równe nogi.)

MALATESTINO. Uważaj! uważaj!
Tylko się nie zdradź!

(Gdy PAOLO otwiera drzwi, MALATESTINO udaje, jak gdyby był wściekły na Gianciotta, krzyczy:)

Puścisz mnie nareszcie!?

(Udaje, jak gdyby go ręce bolały w pulsach.)

To twoje szczęście, żeś jest pierworodny!
Inaczej... Dobrze, Paolo, żeś nadszedł!

SCENA CZWARTA.

PAOLO ma na sobie długą, bogatą suknię, sięgającą poza kolana, do kostek, w biodrach ujętą pasem, wysadzanym drogimi kamieniami; za pasem sztylet damasceński. Włos kędzierzawy, nieprzedzielony, spada mu w swobodnym nieładzie na czoło, osłaniając je niby obłokiem.

PAOLO. Co się tu stało?

MALATESTINO. Patrzaj!
Giovanni gniewa się na mnie,
iżem nareszcie utracił cierpliwość
i uciszyłem na wieki Montagnę,
nie mogąc dłużej słuchać jego jęków,
— a i Franczesce trudno było sypiać —
nie mogąc słuchać
tych jednostajnych wieści,

które mi ojciec przysyłał:
„A strzeżesz-li go dobrze?
A umiesz strzedz jak trzeba?
Z pewnością ci ucieknie!
Ty dasz mu uciec! Z pewnością dziś jeszcze
Zbiegnie z więzienia i ty go nie schwycisz".
Obmierzło mi to! Przez Bóg żyw! jest głowa.

PAOLO. Sam ty go ściąłeś?

MALATESTINO. Sam, i znakomicie!

(PAOLO przygląda się chustce z głową, bacząc, aby się nie poplamić krwią, przesiąkającą przez chustę.)

MALATESTINO. I ty się także usuwasz
z obawy, aby nie splamić
sukni? O, nie wiedziałem,
że dwie posiadam siostry
tak delikatne!

GIANCIOTTO. Przestań się przekomarzać.
Paolo! żądam, by się udał ze mną
do ojca, do Gradary,
by się usprawiedliwił,
że był mu nieposłuszny.
Co o tem myślisz?

PAOLO. Zda mi się, dobrze będzie, jeśli z tobą
pojedzie.

MALATESTINO. Owszem! owszem!
Lecz wezmę z sobą ten zastaw!
Przytroczysz go do siodła —
siodło wytrzyma.

(Bierze chustę za pętlicę.)

Gniewu
ojca się wcale nie boję. Nasz rodzic
ogromnie się ucieszy,
gdy mu rozwinę chustkę — to wam mówię.
I da mi na wojnę
rzymskiego skarogniadosza,
a zaś na łowy obdarzy mnie siwkiem.

GIANCIOTTO. Gotuj się w drogę, nie zwlekaj, bo wieczór
będzie za chwilę.

(MALATESTINO podnosi zawiniątko i chce odejść.)

PAOLO do Giovanniego. Ludzi
widziałem twoich gotowych do jazdy —
czekają tylko hasła, aby siadać.

(Obaj bracia podchodzą do zagłębienia okna i stają naprzeciw promieni zachodu. Siadają.)

MALATESTINO odchodząc. O jaka ciężka! A jest bez szyszaka.
Parcitadowie zawszeć wyglądali
jak bydło na rzeź! Wielkie
rogate głowy! Paozzo,
woń się rozpływa wódki lawendowej

za twoim śladem... Uważaj, uważaj,
bym cię nie splamił krwią.

(Exit.)

PAOLO. Zawsze ma szpony gotowe, by drapać.
Nasi żołnierze
mawiali, że we śnie
zamyka zawsze tylko jedno oko,
a zasię drugie ma zawsze otwarte.
A ja dziś myślę, że nigdy nie sypia
i że nerw jego srogości
wiecznie naprężon.
Stworzon jest na to,
aby zdobywać władzę
i zginąć od miecza —
ten nasz kochany braciszek —
Boże go wspieraj! Ty zasię
masz oto zostać podestą Pesara.
Nasz ojciec na skałę pesarską
spogląda z swojej Gradary
jako na pewną swą zdobycz. Niedługo
da mu ją, bracie,
twoja waleczność i twa mądrość.

GIANCIOTTO. Niema
jeszcze i roku, kiedyś ty, Paolo,
został w Florencyi naczelnikiem ludu,
tak ja dziś po urząd podesty.

Niedługoś bawił nad Arnem. Ja za to
zabawię dłużej, bo snać się nie godzi
odbiegać swego urzędu. Lecz żal mi
zostawiać Franczeskę samą
na taki długi czas.

PAOLO. Raz po raz możesz przyjeżdżać. Pesaro
nie tak daleko.

GIANCIOTTO. Podeście
nie służy prawo wyjazdu,
póki trwa urząd, ty wiesz to, a także
nie wolno brać mu ze sobą małżonki,
więc tobie powierzam mą drogą,
kochaną żonę, tobie,
który zostajesz.

PAOLO. Zawsze
takem ją kochał, jak siostrę.

GIANCIOTTO. Wiem to, Paolo.

PAOLO. Bądź pewny,
że strzedz ją będę dobrze.

GIANCIOTTO. Wiem to, Paolo. Z Rawenny
tyś mi ją przywiózł dziewicą
do mego łoża, strzegłeś
od wszego zła.

PAOLO. Zarządzę,
by moja Orabile
przybyła z Ghiaggioli
tu do Rimini dla jej towarzystwa.

GIANCIOTTO. A bacz-że na to, Paolo,
aby się pokochały
obie bratowe.

PAOLO. Nieraz
Franczeska słała jej dary.

GIANCIOTTO. Idź ją zawołać. Już późno.
Słońce już zaszło, a ja będę zmuszon
uczynić postój w Gradarze,
zasię o trzeciej trzeba być w Pesaro.
Sam ją zawołaj. Siedzi w swej komnacie —
zrażona srogością
Malatestina. Idź ją uspokoić,
by się nie bała, że zostanie sama.
Idź, idź, zawołaj.

(Wstaje i rękę kładzie na ramieniu Paola, jakby chciał go zachęcić. PAOLO zwraca się ku drzwiom, KULAWIEC pozostaje i, nieruchomy, zabójczą towarzyszy źrenicą aż do progu krokom pięknego męża. Zaledwie Paolo znikł za drzwiami, KULAWIEC podnosi rękę do góry, jak do przysięgi. Potem podchodzi do stołu i bierze połamany puhar, aby go ukryć. Odwraca się i wzrok jego pada na otwarte drzwi żelazne. Idzie, rzuca puhar w ciemnię i zamyka.)

SCENA PIĄTA.

(W drugich drzwiach zjawia się FRANCZESKA przy boku szwagra.)

FRANCZESKA. Wybaczcie mi, panie,
iżem tak nagle odeszła. Lecz znacie
powód.

GIANCIOTTO. Znam powód, ma droga małżonko.
Żal mi jest bardzo,
iżeście tyle musieli wycierpieć
z winy mojego
nieszczęśliwego brata. Lecz już wszystko
takem zarządził, aby wam był spokój,
a jemu kara. Biorę go do ojca,
dziś, do Gradary. Poszedł
gotować się do jazdy.
Za chwilę wyruszym z miasta.

FRANCZESKA. Gniew będzie żywił ku mnie,
jeśli nań skargę wniesiecie przed ojcem.
Przebaczcie mu, proszę,
Wszakże to jeszcze chłopię.

GIANCIOTTO. Nie, lepiej będzie, jeżeli
pojedzie ze mną, dzisiaj, dla waszego,
moja małżonko, spokoju. Paolo
zostanie z wami. Jemu was powierzam.
I Orabile zjawi się na dłuższy

czas do Rimino. Sam to przyobiecał.
Szybko i często
wieści dochodzić was będą z Pesaro,
a i ja żywię nadzieję, że również
będę miał częstą wiadomość z Rimino.

FRANCZESKA. Z pewnością, panie. Wyrzućcie ze serca
wszelki niepokój.

GIANCIOTTO. A i wy nie dajcie
przystępu żadnym żałobom. Weselić
będą was śpiewy i granie i piękne
suknie i drogie pachnidła.
Córce Gwidona nie przystoi kądziel.
Raczcie pamiętać, że słowa matczyne
dlatego tylko powtarzał, by uśmiech
na waszych wywołać ustach.
Krzywa mi za to nie jesteście —
żali nieprawda, żono?

FRANCZESKA. Zdawało mi się, że we waszych słowach
ukryty mieści się wyrzut.

GIANCIOTTO. Stare to słowa, zrodzone
między starymi murami Verucchia,
dziś zbyt ciasnego gniazda Malatestów.
Dzisiaj już w naszym domu
jeśli się przędzie,
to purpurowe nici

i na złocistej kądzieli. O droga
moja małżonko, niechże was uściskam.

(FRANCZESKA idzie naprzeciw niemu. GIANCIOTTO bierze ją w ramiona i całuje. PAOLO stoi we drzwiach milczący.)

GIANCIOTTO. Zegnam was, przenigdy
nie wydaliście mi się tak przepiękną
i tak przesłodką, jak dzisiaj, a jednak
trzeba wyjeżdżać.

(Gładzi ręką włosy żony, potem wypuszcza ją z objęć.)

O bracie mój, strzeż jej,
i niech jej strzegą niebiosa. Chodź do mnie
i dał mi porękę wierności.

(PAOLO się zbliża. Ściskają się.)

GIANCIOTTO. Gdzie mój pancerny kołnierz?

FRANCZESKA podaje mu zbroję. Jest tutaj.

GIANCIOTTO nakłada sobie kołnierz. Proszę cię, zapnij, Paolo.

(PAOLO zapina. FRANCZESKA podaje mu hełm.)

GIANCIOTTO. Czy przypominasz sobie,
bracie mój, wieczór ów na wieży Mastra
i strzał twój z łuku?
Czy pamiętacie, Franczesko?
To było o tej porze.
Wówczas Cignatta zginął. Dziś Montagna

poszedł za jego śladem.
Niema i roku.
Dom nasz dzisiaj cichy;
naonczas wszystkie wieże
drżały pod niebios sklepieniem.

(FRANCZESKA bierze miecz ze stołu i przypasuje mu go do boku.)

GIANCIOTTO. Franczesko,
czy pamiętacie? Daliście nam wówczas
greckiego wina z Chios.
Piliśmy z jednej czary.

(Cały już w zbroi.)

Napijmy się i teraz!

FRANCZESKA. Brak jednej czary. Były dwie. Gdzie druga?

(Patrzy, czy nie upadła na ziemię.)

GIANCIOTTO. Jedna wystarczy — jak wówczas!

(Nalewa wino do czary i podaje Franczesce.

Niech Bóg ci
użyczy szczęścia!

FRANCZESKA. Nie mogę
pić tego wina, nie jestem przywykła.

GIANCIOTTO. Haust tylko jeden, jak wówczas, a potem
dajcie szwagrowi, by i on się napił.

(FRANCZESKA pije haust i podaje Paolowi.)

PAOLO. Szczęścia podeście Pesara!

(Pije, wtył odrzuciwszy kędziory włosów. U drzwi, po prawej, słychać głos MALATESTINA, który nagle otwiera drzwi i staje w progu, cały w zbroi. Zdala, w dziedzińcu, słychać trąbkę.)

MALATESTINO. Gotowy
jestem, Giovanni! Oto znak, by siadać!
Na koń! na koń!

ZASŁONA.

AKT PIĄTY

AKT PIĄTY.

Scena przedstawia ozdobną komnatę, w której widać łoże z kotarami, trybunę dla muzykantów i pult z zamkniętą księgą. Cztery świece woskowe płoną w jednym z żelaznych kandelabrów; dwa świeczniki stoją zapalone na małym stoliczku. Przez otwarte okna widać jasną, pogodną noc. Na poręczy okna stoi wazon z zielem wasilkowem; tuż obok leży talerz złocisty, napełniony świeżemi winogronami.

SCENA PIERWSZA.

Przez odchylone kotary widać FRANCZESKĘ, w ubraniu spoczywającą na łożu. Towarzyszki w białym stroju, z lekkiemi, białemi przepaskami naokoło twarzy, siedzą na małych stołeczkach, rozmawiając szeptem, aby nie przeszkadzać pani. Obok nich, na ławce, stoi pięć srebrnych lampek.

ADONELLA. Sen ją zmógł. Usnęła.

(BIANKOFIORE podchodzi po cichu do łoża; przypatruje się chwilę, potem wraca do swego stołeczka.)

BIANKOFIORE. Tak, śpi. Ach! jakżeż piękna!...

ALTICHIARA. Razem z nadejściem lata
wzrosła jej urodziwość.

ALDA. Niby jak kwiat lawendy.

GARSENDA. Albo jak mak.

BIANKOFIORE. O piękne
nie odchodź od nas lato!
Noce już teraz bywają chłodniejsze.
Czujecie powiew?

ALDA. Idzie
od morza. Co za rozkosz!

(Twarzą zwrócona ku oknu, wciąga w siebie powietrze.)

ADONELLA. Nadchodzi pani Jesień,
figi i winogrona
przynosi nam w podołku.

BIANKOFIORE. Ha! wcześnie dojrzewają
figi i winogrona.

ALTICHIARA, wskazując na złoty półmisek, do Adonelli.
Podaj nam winogrona!
Zaraz je zjemy, Adonello!

ADONELLA. Co za łakomiec!

ALTICHIARA. Ślina z ust ci idzie.

(ADONELLA przynosi z półmiska, stojącego na oknie, piękne winne grono; wraca potem do swego stołeczka i podnosi grono do góry, które towarzyszki zaczynają obrywać i zjadać.)

BIANKOFIORE. Muszkatułowe! słodkie!

ALDA. Nie rzucajcie łupin!

ALTICHIARA. Zjada się wszystko: łupinę i ziarnka.

GARSENDA. A, ta jest nieco kwaśna!

BIANKOFIORE. Widać, że rosła w cieniu.

(Obrywają winne jagody, milcząc przez chwilę.)

ADONELLA. Co za milczenie!

ALDA. Cisza!
Słyszycie? Statek w górę
podnosi swą kotwicę.

BIANKOFIORE. Tej nocy nasza pani
śpiewać nam nie kazała.

ALTICHIARA. Widać, zmęczona.

ALDA. I więzień
nareszcie przestał jęczeć.

GARSENDA. Ano, bo, wiecie, pan Malatestino
kazał mu głowę ściąć.

ALDA. Co? nadoprawdy?

GARSENDA. Tak, dzisiaj wieczór.

ALDA. Skąd wiesz?

GARSENDA. Mówiła mi o tem Smaragdi.
Widziałam-ci też sama:
Kiedy odjeżdżał od nas Giovanni,
przypiął do siodła
tłumok; w nim była głowa
ścięta!

ADONELLA. A dokąd ma ją
zawieźć?

ALTICHIARA. Do kogo ma ją
zawieźć?

BIANKOFIORE. W tej chwili jadą
pobrzeżem morza,
popod gwiazdami
jadą z tą głową
ściętą.

ADONELLA. A dokąd teraz
mogli zajechać?

ALDA. Do piekieł! I oby
tam pozostali — na zawsze!

GARSENDA. Ach! jakżeż
tu się oddycha inaczej w tym domu,

kiedy już niema Ślepca
i tego Kulawego.

ALTICHIARA. Cicho, by cię madonna
nie usłyszała...

GARSENDA. Jak to?
nie odetchnęła-ż i nasza madonna?

ALDA. A pan Paolo czy pozostał?

ALTICHIARA. Cicho!

(FRANCZESKA wzdycha przez sen.)

ADONELLA. Przebudzi się!

(Rzuca gałązkę winogronną poza okno. BIANKOFIORE wstaje ponownie i zwraca się ku alkowie; bada, czy Franczeska śpi.)

BIANKOFIORE. Nie! nie! śpi ciągle!
Tylko przez sen tak wzdycha.

ADONELLA. Coś śni.

ALDA. Garsenda! a czy wie madonna,
że więzień przestał jęczeć,
ponieważ ścięto mu głowę?

GARSENDA. Zapewne!

BIANKOFIORE. Może śni o tem właśnie.

ADONELLA. Kto wie, o której skończy się godzinie
nasze czuwanie tej nocy?

ALDA. Czyś senna?

ALTICHIARA. Na schodach czeka na nią Simonetto,
ten, co to grywa na piszczałce.

ADONELLA. Ejże!
A kto na ciebie czeka? Kto? Sokolnik
Luzzo z gwizdawką ze skóry?

ALDA. Sza! cicho!
Zbudzicie panią!

BIANKOFIORE. Powiedz,
Garsenda, ciekła krew? Co?

GARSENDA. Skąd?

BIANKOFIORE. Z tłumoka
przy siodle.

GARSENDA. Ciemno już było w dziedzińcu,
niezbyt wyraźnie widziałam. Wiem tylko,
że myć posadzkę musiała Smaragdi,
tam, wiecie, w sali
z jednorożcami.

BIANKOFIORE. Teraz już będą gdzieś pod Kattoliką.

GARSENDA. Boże ich trzymaj zdala i już więcej
nie pozwól im tu wracać.

BIANKOFIORE. Koń pewnie dęba staje,
czując, jak mu się kołysze u siodła
ta trupia głowa!

ADONELLA. Jakżeż tej nocy pachnie kwiat wasilku.

ALTICHIARA. A jak on urósł! Wnet się nie pomieści,
patrzcie, w tej wazie.

BIANKOFIORE. Ty znasz to, Garsenda:
Opowiedz-że nam o Elizabecie
onej z Messyny, co się zakochała
w młodzieńcu z Pisy, w tym, co go to bracia
zamordowali potajemnie — ona
znalazła ciało kochanka i głowę
odcięła od tułowia
i umieściła ją w wazonie z ziemią
i potem zasadziła
w tej ziemi krzak wasilku
i polewała go swojemi łzami.
Opowiedz-że nam, Garsenda, po cichu,
aż się przebudzi.

(FRANCZESKA silniejsze wydaje westchnienie i niespokojnie porusza się na łożu. Towarzyszki przestraszają się.)

ALDA. Wzdycha
i coś majaczy. Sen ma jakiś przykry.

GARSENDA. Ot, na wznak leży i piersi jej gniecie
zmora.

ALTICHIARA. A może ją zbudzić?

BIANKOFIORE. Nie, lepiej
tego nie czyńmy. Źle budzić znienacka
serce, co widzi...
A wszakże my nie wiemy,
jaką ujrzała prawdę.

ADONELLA. Niewolnica
musi jej zawsze wszystkie sny wykładać.

SCENA DRUGA.

(FRANCZESKA wydaje okrzyk przerażenia, wyskakuje z łóżka, jak gdyby chciała przed dzikim uciekać pościgiem; rękami czyni ruchy naokoło bioder, jak gdyby uwolnić się pragnąc od czyjegoś chwytu.)

FRANCZESKA. Nie! nie! to nie ja! To nie ja! Ratunku!
Już mnie chwytają zębami! Już z wnętrza
wyjmują
serce!... Ratunku,
Paolo!

(Zapędza się, potem nagle staje, miarkuje się, blada, przerażona, podczas gdy towarzyszki starają się ją uspokoić.)

GARSENDA. My tu jesteśmy, madonno!
Popatrz, madonno, my jesteśmy tutaj!

ALTICHIARA. Niech się nie lęka Wasza Miłość.

ADONELLA. Niema
tutaj nikogo. My tu
jesteśmy. Nikt cię ukrzywdzić nie myśli.

FRANCZESKA *jak we śnie.* Com mówiła? Com wołała?
Com zrobiła? O mój Boże!?

ALDA. Sen jakiś przykry miała Wasza Miłość.

GARSENDA. Teraz już minął. My tutaj jesteśmy.
Wszędzie już spokój.

FRANCZESKA. Czy późno?

BIANKOFIORE. Potem zrosiło-ć się czoło.
(Ściera jej pot z czoła.)

FRANCZESKA. Późna to noc? Garsenda,
Biankofiore, Alda... całkiem białe
jesteście.

GARSENDA. Będzie coś około czwartej,
madonno.

FRANCZESKA. Długom spała? A Smaragdi?
Gdzie jest Smaragdi?
Nie powróciła jeszcze?

BIANKOFIORE. Nie powróciła.

FRANCZESKA. Czemu nie powróciła?

BIANKOFIORE. A dokąd Wasza Miłość ją posłała?

FRANCZESKA. Czyście czuwały? Może
sen otumanił wasze zmysły?
Nie widziałyście, jak weszła?

GARSENDA. Nie! nie! madonno!
Nie zmrużyłyśmy oka, czuwałyśmy!

ADONELLA. Może wróciła i śpi pode drzwiami,
jak zwykle.

FRANCZESKA. Zobacz, Adonello, może
jest tam!

(ADONELLA idzie ku dzwiom, odchyla portyerę, otwiera drzwi i zagląda.)

ADONELLA. Smaragdi! Nic nie odpowiada.
Niema nikogo. Ciemno wszędzie.

FRANCZESKA. Wołaj,
wołaj raz jeszcze.

ADONELLA. Smaragdi!

FRANCZESKA. Weź światło!

(GARSENDA bierze jednę z lamp, zapala ją przy jednym z świeczników, i idzie ku drzwiom i razem z towarzyszkami bada, czy niema niewolnicy.)

FRANCZESKA. Powinna była wrócić już oddawna.

Może spotkało ją coś złego? Pan Bóg
może wie co. Dobrego nic pewnie nie będzie.

BIANKOFIORE. Męczy cię jeszcze, przestrach snu, madonno.

ALTICHIARA. Niech Wasza Miłość odetchnie
świeżem powietrzem. Jasna
noc i pogodna.

FRANCZESKA. Księżyc
zeszedł?

ALDA. Zapewne zeszedł za górami,
ale na morzu jeszcze go nie widać.

(GARSENDA i ADONELLA wracają; jedna z nich gasi lampę.)

FRANCZESKA z przestrachem. Co? jest? wrócił?

GARSENDA. Nie, niema nikogo,
madonno!

ADONELLA. Ciemno naokół i cicho!
Śpi cała służba.

GARSENDA. Widziałyśmy tylko...

(Nagle urywa.)

FRANCZESKA. Kogo? powiedzcie! Kogo?

GARSENDA wahająco. O madonno,
kogoś... co stał tam... stał tam nieruchomy

tuż popod murem...
jak posąg jaki... sam... Pas mu się świecił...
O nie... nie... madonno!
Niech-że się Miłość Wasza tak nie lęka!

(Zbliża się do Franczeski i cichym mówi jej głosem.)

Messer Paolo.

FRANCZESKA zmieszana. Czego chciał?

ADONELLA. Czy włosy
uczesać na noc, madonno?

FRANCZESKA. Nie trzeba.
Spać mi się nie chce, poczekam.

ALDA. Czy rozsznurować trzewiki?

BIANKOFIORE. Czy może
zlać pachnidłami?

FRANCZESKA. Zostanę, jak jestem.
Spać mi się nie chce... Poczekam
tak na Smaragdi.

ALTICHIARA. Pójdziemy jej szukać.

GARSENDA. Tak jest co wieczór biedaczka zmęczona,
że gdziebądź zawsze kładzie się i zaśnie.
A może ją znajdziemy
na schodach.

FRANCZESKA. Idźcie! idźcie!
A ja tymczasem tu poczekam. Świecę
postaw mi, Aldo.

(ALDA przynosi świecznik ze stoliczka i stawia go na pulpicie, na którym leży książka.)

FRANCZESKA. Idźcie! Takie białe
jesteście wszystkie! Idźcie!
Nie zmarło jeszcze lato?
Nie widziałyście dzisiaj popod wieczór
ulatujących jaskółek?
Ja byłam dziś gdzieindziej —
patrzałam ku szczytom gór,
za które schodziło słońce.
Nie wszystkie jeszcze odleciały? Prawda?
Być może jutro odlecą już od nas
drugie ich stada. Pobiegnę na wieżę,
aby je widzieć. A wy mi będziecie,
śpiewać kanzonę do tańca, jak wówczas
w dniu pierwszym marca. A czy macie jeszcze
kilka jaskółek, tych pomalowanych,
w sidłach?

ALDA. Są jeszcze, madonno, są jeszcze.

FRANCZESKA. A jutro do tańca
czarny mi przyniesiecie
stanik na białą suknię,

ażebym była podobna
do „wesołego stworzonka".

BIANKOFIORE. I owszem.

FRANCZESKA. Idźcie już, idźcie.

(Otwiera książkę. Każda z biało ubranych dziewcząt bierze małą lampkę srebrną, zawieszoną na małym pałąku. ADONELLA podchodzi pierwsza do wysokiego kandelabra i, podnosząc się na palcach, zapala lampkę przy jednej z świec. Potem się kłania i odchodzi. FRANCZESKA śledzi ją oczami.)

FRANCZESKA. Już, Adonello, idziesz?

(GARSENDA z tym samym ruchem, co Adonella.)

FRANCZESKA. I ty idziesz,
Garsendo?

(ALTICHIARA czyni tosamo.)

FRANCZESKA. Idziesz już, Altichiaro?

(ALDA z tym samym ruchem.)

FRANCZESKA. Idziesz już, Aldo?

(Exeunt omnes.)

(Ostatnia zostaje BIANKOFIORE; i ona taksamo chce zapalić swą lampkę; ale że jest mniejsza od innych, nie dostaje do płomienia.)

FRANCZESKA. Mała, mała jesteś,
Biankofiore; nie sięgniesz płomienia,

aby zapalić lampkę.
Przedelikatnaś, mała gołąbeczko!

(BIANKOFIORE odwraca się z uśmiechem.)

FRANCZESKA. Chodź-że tu do mnie!

(Dziewczyna się zbliża; FRANCZESKA gładzi jej włosy.)

Moja jasnowłosa!
Podobna jesteś cokolwiek do mojej
Samarytany. Pamiętasz
Samarytanę?

BIANKOFIORE. Tak, madonno.
Nie zapomniałam jej słodyczy. W sercu
niosę ją razem z aniołami.

FRANCZESKA. Słodka
była ma siostra, prawda, Biankofiore?
Czemu jej nie mam dziś przy sobie? Czemu
już jej nie widzę ścielącej dziś w nocy
swoje łóżeczko przy mojem? Dlaczego
już mi nie biega bosa popod okna —
gołemi nóżki? Czemu już nie biegnie
pod okna mała gołąbka, wołając:
Franczesko! jutrznia już świeci! Koguty
sfrunęły z grzędy.

BIANKOFIORE. Łzy w oczach
ma Wasza Miłość!

FRANCZESKA. Drżysz, Biankofiore.
Naraz i ona się zlękła. Słyszałam
bicie jej serca. Mówiła: siostrzyczko,
słuchaj! pozostań ze mną, o pozostań
tu, gdzieśmy się urodziły!
Nie odchodź, siostro!
A jej rzekłam: weź mnie!
weź mnie ze sobą, weź!
Zakryj mnie swoim welonem.

BIANKOFIORE. Madonno!
Zasmucasz serce moje!
Cóż to za melancholia
ogarnia Miłość Waszą?

FRANCZESKA. Nie płacz! nie płacz!
Zbyt delikatnaś; zapal swoją lampkę.

BIANKOFIORE. Chce Wasza Miłość, ażebym została?
Spać będę przy twojem łożu.

FRANCZESKA. Nie, Biankofiore! Zapal swoją lampkę
i odejdź z Bogiem, idź! Samarytana
pewnie dziś myśli o swej siostrze.

(BIANKOFIORE zapala lampę przy jednym z świeczników i nachyla się potem, chcąc Franczeskę pocałować w rękę.)

FRANCZESKA. Odejdź!
Przestań już płakać! Smutne myśli przejdą.
Jutro zaśpiewasz... Idź już.

BIANKOFIORE zwraca się powoli ku drzwiom. Kiedy już ma wyjść,

FRANCZESKA w pozie nadsłuchującej, jak gdyby coś przeczuwała.

Nie odejdziesz,
Biankofiore?

BIANKOFIORE. Nie! zostanę z tobą,
madonno! Pozwól mi zostać przynajmniej
pókąd nie wróci Smaragdi.

FRANCZESKA waha się chwilę, potem:

Nie! odejdź!

BIANKOFIORE. Niech Bóg, madonno, ma cię w swej opiece!

(Ultima exit.)

SCENA TRZECIA.

Słychać zamykanie drzwi. FRANCZESKA, pozostawszy sama, podchodzi kilka kroków ku drzwiom, potem staje, nadsłuchując.

FRANCZESKA. Niechże się stanie! To me przeznaczenie!

(Podchodzi ku drzwiom zdecydowana.)

Zawołam!

(Waha się i wraca.)

Jeszcze stoi! Stał przy murze —
stał niby posąg, sam.
Pas mu się błyszczał w ciemni. Któż to mówił?
Któż to powiedział? Jakież to dalekie!
Pod hełmem twarz mu płomienieje cała.

(Wizye, nakształt błyskawic, przenikają jej duszę.)

Milczący patrzał wskróś dzirytów
swoich pachołków.
Strzała przeszywa mu głowę.
I już zmazane piętno zdrady!
Wychyla czarę, przechyliwszy głowę.
Ach! wszystko znika! znika!
Wróg w swojej garści trzyma
topór i tajemnicę!
„Macie mnie, kaci, macie!
Jestem po waszej woli!"
Ale żelazo ust nam nie rozdzieli:
tak! nie rozdzieli płomienia!

(Chodzi po komnacie, błędna i znękana, z błyskawicami w duszy.)

Tak! stopionego nie rozdzieli płomia.

(Podchodzi do stoliczka, bierze srebrne zwierciadło i przegląda się w niem.)

O ty milczenie, ty wodo głęboka,
ty blady grobie mej twarzy
śmiertelnej! Jakiż głos to
mówi, żem nigdy nie była tak piękną?
I w samotności płomiennej
tych waszych oczu żyłam
z taką skrzydlatą mocą,
walcząca zdala, samotna...
I jeden tylko głos
rozbrzmiewa z wieży serca
i wszystka krew ucieka...
Ach!

(Słychać ciche pukanie do drzwi. FRANCZESKA, przerażona, kładzie lustro na stoliku, gasi świecznik, podchodzi ku drzwiom, tłumiąc oddech, i woła przyciszonym głosem:

Smaragdi! Smaragdi!

GŁOS PAOLA. Franczesko!

(FRANCZESKA gwałtownym ruchem otwiera drzwi.)

SCENA CZWARTA.

FRANCZESKA z namiętnym oddechem rzuca się w objęcia kochanka.

Paolo! Paolo!

(PAOLO ubrany taksamo, jak wieczorem, z odkrytą głową. FRANCZESKA tuli mu się do piersi.)

PAOLO. O moje życie! Tęsknota ma k'tobie
nie była nigdy tak szaloną! Czułem,
że już do mego serca
wnikały słabiej duchy,
żyjące w twoich źrenicach. Ma władza
już się gubiła śród nocy, płynęła
z mojego serca wzburzonym
strumieniem krwi; ma dusza
tak była przerażona,
jak w onej tajnej godzinie,
kiedyś mnie z Bogiem przeszyła
twą strzałą

i tam zawiodła, skąd niema powrotu,
choćby człek wrócić zapragnął.
Żali nie dnieje? Zali już dnieje?
Wszystkie już gwiazdy zgasły w twych rozwianych
włosach w królestwie mroków, dokąd usta
już nie zdołają dotrzeć...

(FRANCZESKA przechyla się coraz bardziej, a on całuje namiętnie jej włosy.)

FRANCZESKA. Przebacz! Przebacz!
I ty mi snać już byłeś
daleki i milczący,
z źrenicą suchą i martwą, jak wówczas,
śród tych dzirytów martwych, nieugiętych.
I sen, straszniejszy, twardszy od topora,
przeciął mą duszę na dwoje
i jak pień rzucił straconą
na głaz. I przyszło na mnie jakieś widmo,
które oddawna widuję,
a które mnie pożera.
I byłam napełniona
przestrachem i przerażeniem —
i drżącą mnie widziały towarzyszki moje
ach! i płaczącą!

PAOLO. Płaczącą!

FRANCZESKA. Przebacz mi, przebacz, słodki

mój przyjacielu! Tyś mnie znów przebudził
i oswobodził z lęku!
Jeszcze nie nadszedł poranek;
jeszcze się gwiazdy nie ukryły w morzu,
lato nie zmarło jeszcze; i tyś moim
i jam jest cała twoją!
I radość jest zupełna
w naszego życia płomieniącym ogniu.

(Kochanek ją całuje z nienasyconą żądzą.)

PAOLO. Trzęsiesz się!

FRANCZESKA. Drzwi otwarte
i chłodne tchnienie nocy
zawiewa k'nam. Nie czujesz?
To chwila,
pełna milczenia,
co zimną sieje rosę
na grzywy rumaków w drodze.
Zamknij, Paolo, drzwi.

(PAOLO zamyka drzwi.)

FRANCZESKA. Czyś ty ich widział na swe własne oczy
odjeżdżających?

PAOLO. Widziałem.
Długom-ci patrzał z wieży, aż ostatnia
zniknęła w mrokach dzida.

Chodź, chodź, Franczesko! Długie są przed nami
chwile rozkoszy
z dziką melodyą jesieni, z płomienną
kaskadą samotności,
z gwałtownym biegiem rzeki,
co nie ma ujścia żadnego
dla nieśmiertelnych swych pragnień;
ulatująca chwila
lękliwą budzi mi żądzę
do życia tysiącem żywotów
z drżeniem powietrza, które pieści ciebie,
z burzliwym morza oddechem,
ze szałem świata,
ażeby żaden z nieskończonych bytów,
które są w tobie,
nie był nieznany dla mnie,
abym nie umarł przedtem,
zanim z twych tajnych głębin
nie wydobędę
i nie skosztuję ostatnich
korzeni mojej rozkoszy.

(Ciągnie ją ku aksamitnym wezgłowiom przy oknie.)

FRANCZESKA. Całuj mi oczy, rozcałuj mi skronie
i moje lica i szyję...
Tak... o... tak!...
rozcałuj pulsy i palce...
Tak! bierz mi duszę i odwróć ją tak,

ażeby tchnienie nocy
znów ją zawiodło ku temu,
czem była!
By ją zawiodło ku odległym rzeczom
to słowo nocy,
i aby szczęście, raz zakosztowane,
zamknęło mi serce,
abym widziała ciebie
tym, jakim byłeś, nie tym, jakim będziesz,
o ty mój piękny, słodki przyjacielu.

PAOLO. Zawiodę ciebie tam, gdzie zapomnienie.
Czas już nie będzie miał władzy
nad pożądaniem,
które przestanie być sługą.
Dzień z nocą stopi się w jedno
na ziemi, jak na wezgłowiu,
i ręce świata nie będą już mogły
rozdzielić czarnych ramion z ramionami
białemi,
ani nie rozplączą
włosów i żył posplatanych.

FRANCZESKA. Wszak mówi książka, której nie czytałeś:
„Jednem byliśmy w życiu, tak jesteśmy
godni być jednem i w śmierci."

PAOLO. Niech będzie
księga zamknięta!

(Wstaje, zamyka książkę na pulpicie i zdmuchuje światło.)

Nie czytaj! Gdzieindziej
jest napisane przeznaczenie: w gwiazdach
jest napisane, drżących
jak twoja szyja i twe pulsy
i twoje skronie,
może dlatego, że były
twoją koroną i twem przeznaczeniem,
kiedyś w płomieniach schodziła
z niebios na ziemię. A z jakiej winnicy
— powiedz — zerwałaś to przepiękne grono?
Woń upojenia
mają i miodu,
jak żyły, nabrzmiałe rozkoszą! Owoce
nocy! Miłości płomieniste stopy
wycisną słodki z nich napój. Daj usta!
Daj usta! Jeszcze! Jeszcze!

(FRANCZESKA podaje mu się na wezgłowiu nieprzytomna, zwyciężona. Nagle, głęboką ciszę przerywa gwałtowny łomot w drzwi, jakby kto bił w nie pięściami. Kochankowie zrywają się przerażeni.)

GŁOS GIANCIOTTA. Franczesko! otwórz! Franczesko!

(FRANCZESKA skamieniała z przerażenia.)

(PAOLO badawczo rozgląda się naokoło, trzymając rękę przy sztylecie. Wzrok jego pada na obręcz drzwi zapadnych.)

PAOLO głosem stłumionym. Odwagi! męstwa! Ja się tu ukryję

za te zapadne drzwi,
a ty mu pójdziesz otworzyć.
Tylko mi nie drżyj! nie drżyj!

(PAOLO otwiera drzwi zapadne. — Pod uderzeniami Gianciotta podwoje zdają się rozpadać w kawały.)

GŁOS GIANCIOTTA.
Otwórz, Franczesko! Na twą głowę!

PAOLO. Otwórz!
Otwórz! idź! ja zasię
poczekam tutaj pod oknem. Na krzyk twój
skoczę, jeżeli cię ruszy.
A tylko nie drżyj! Odważnie!

(PAOLO schodzi, podczas tego FRANCZESKA, nadsłuchując, chwiejnym zbliża się krokiem do podwoi.)

GŁOS GIANCIOTTA.
Otwórz, Franczesko! na twą głowę, otwórz!

SCENA OSTATNIA.

GIANCIOTTO w pełnej zbroi, okryty kurzem, wpada, jak szalony, przez otwarte podwoje do komnaty i szuka brata. Naraz go spostrzega, ponieważ PAOLO głową i ramionami wystaje ponad posadzkę, daremnie usiłując uwolnić suknię od żelaznej zapory schodów, do której się przyczepiła. FRANCZESKA, spostrzegłszy go również, wydaje krzyk przeraźliwy, podczas gdy KULAWIEC rzuca się na cudzołożnika i pochwyciwszy go za włosy, zmusza do wyjścia na górę.

GIANCIOTTO. Sameś się dostał w pułapkę,
ty zdrajco! Dobrzem cię chwycił
za grzywę!

FRANCZESKA *rzuca się z groźnem obliczem na niego.*
Puść go! puść go!
Na mnie się pomścij! na mnie!

(Małżonek puszcza swą zdobycz. PAOLO skacze na drugą stronę schodów i dobywa sztyletu. KULAWIEC zrywa się za nim, wyciąga miecz z pochwy i z strasznym rzuca się na niego impetem.)

(FRANCZESKA błyskawicznym ruchem rzuca się pomiędzy nich obu, ale ponieważ mąż zdradzony nie może powstrzymać już ciosu, szpada przeszywa pierś Franczeski. Franczeska zatacza się w kółko i pada w objęcia Paola, który sztylet wypuścił był z ręki.)

FRANCZESKA *umierając.* Ach! Paolo!

(KULAWIEC mityguje się na chwilę. Widzi żonę swą w objęciach Paola, który ustami swemi zamyka jej konające usta. Kulawiec, szalony z bolu i wściekłości, drugim ciosem zadaje śmierć bratu. Oba splecione ciała zataczają się i padają, bez najmniejszego jęku i nie rozłączając się, na podłogę.)

(KULAWIEC nachyla się w milczeniu i na jedno przyklęknąwszy kolano, na drugiem łamie szpadę skrwawioną.)

EXPLICIT TRAGOEDIA.

UTWORY JANA KASPROWICZA

WYDANE NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO WE LWOWIE:

Krzak dzikiej róży. Poezye. Z portret. autora. 16-ka, str. ul. 8 i 253. Lwów 1898. WYCZERPANE.

Wybór poezyi. 16-ka str. 242. Lwów 1902. NA WYCZERPANIU. Kor. 3·—. Rb. 1·50.

Ginącemu światu. Dies irae, Salome, Święty Boże, Święty Mocny, Moja pieśń wieczorna. 4-ka str. 81. Lwów 1902. Kor. 3·60. NA WYCZERPANIU.

Bunt Napierskiego. Poemat dramatyczny. Z ilustracyami St. Dębickiego. 16-ka str. 3 ul. i 186. Wyd. ozdobne. Kor. 3·20. Rb. 1·80.

Baśń nocy Swiętojańskiej. Prolog na otwarcie teatru miejskiego we Lwowie. 8-ka długa, str. 36. Lwów MCM. Kor. 1·—

Poezye. Wydanie nowe. 16-ka str. 238. Lwów 1905. Kor. 3·— Rb. 1·50.

W PRZYGOTOWANIU:

Skarga. Dramat.

W DRUKU:

Salve Regina i Moja pieśń wieczorna. Wydanie II i III.

Siostra Beatrycze. M. Maeterlincka dramat — tłumaczenie.

DZIEŁA STANISŁAWA WITKIEWICZA

TANIE WYDANIE.

Sztuka i Krytyka. Wydanie III. WYCZERPANE. 8-ka. Str. XXXI i 710. Lwów 1899.

Dziwny człowiek (Józef Siedlecki). Z portretem. 8-ka str. 144. Lwów 1903. Kor. 1·—. Rb. —·50.

Aleksander Gierymski. 8-ka, str. 191. Lwów 1903. Kor. 2·—. Rb. 1·—.

Bagno. 8-ka, str. 80. Lwów 1903. NA WYCZERPANIU. Kor. 1·—. Rb. —·55.

Juliusz Kossak. Studyum. Lwów 1906.

9110197

W PRZYGOTOWANIU:

Sztuka i Krytyka. Wydanie IV.

Na przełęczy. Wydanie II.

UTWORY J. A. KISIELEWSKIEGO

WYDANE OZDOBNIE NAKŁADEM TOW. WYDAW. WE LWOWIE:

O teatrze japońskim. 4-ka, str. 36. Lwów 1902. Kor. 1·50. Rb. —·50

Sonata. Dramat. 4-ka, str. 83. Lwów 1902. Kor. 3· — Rb. 1·—

W sieci. Komedya. 4-ka, str. 122. Lwów 1903. Kor. 4·—. Rb. 1·50.

Ostatnie spotkanie. Komedya. 4-ka str. 106. Lwów 1903. Kor. 3·60. Rb. 1·50.

Karykatury. Komedya. 4-ka, str. 102. Lwów 1903. Kor. 3·60. Rb. 1·50.

W DRUKU:

Panmusaïon. Szkice literackie.

UTWORY WŁADYSŁAWA ORKANA

WYDANE NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO WE LWOWIE:

Nad urwiskiem. Szkice i obrazki. 8-ka, str. 216. Lwów—Warszawa 1900. Kor. 3·—. Rb. 1·35. NA WYCZERPANIU.

Komornicy. Powieść. 8-ka, str. 179. Lwów 1900. Kor. 2·60. Rb. 1·10. NA WYCZERPANIU.

W roztokach. Powieść, tom I i II. 8-ka, str. 228 i 342. Lwów 1903. Kor. 5·—. Rb. 2·40.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
66.064

Biblioteka WSP Kielce
0179266